

Chłopiec

numer 1 magazynu boylovera

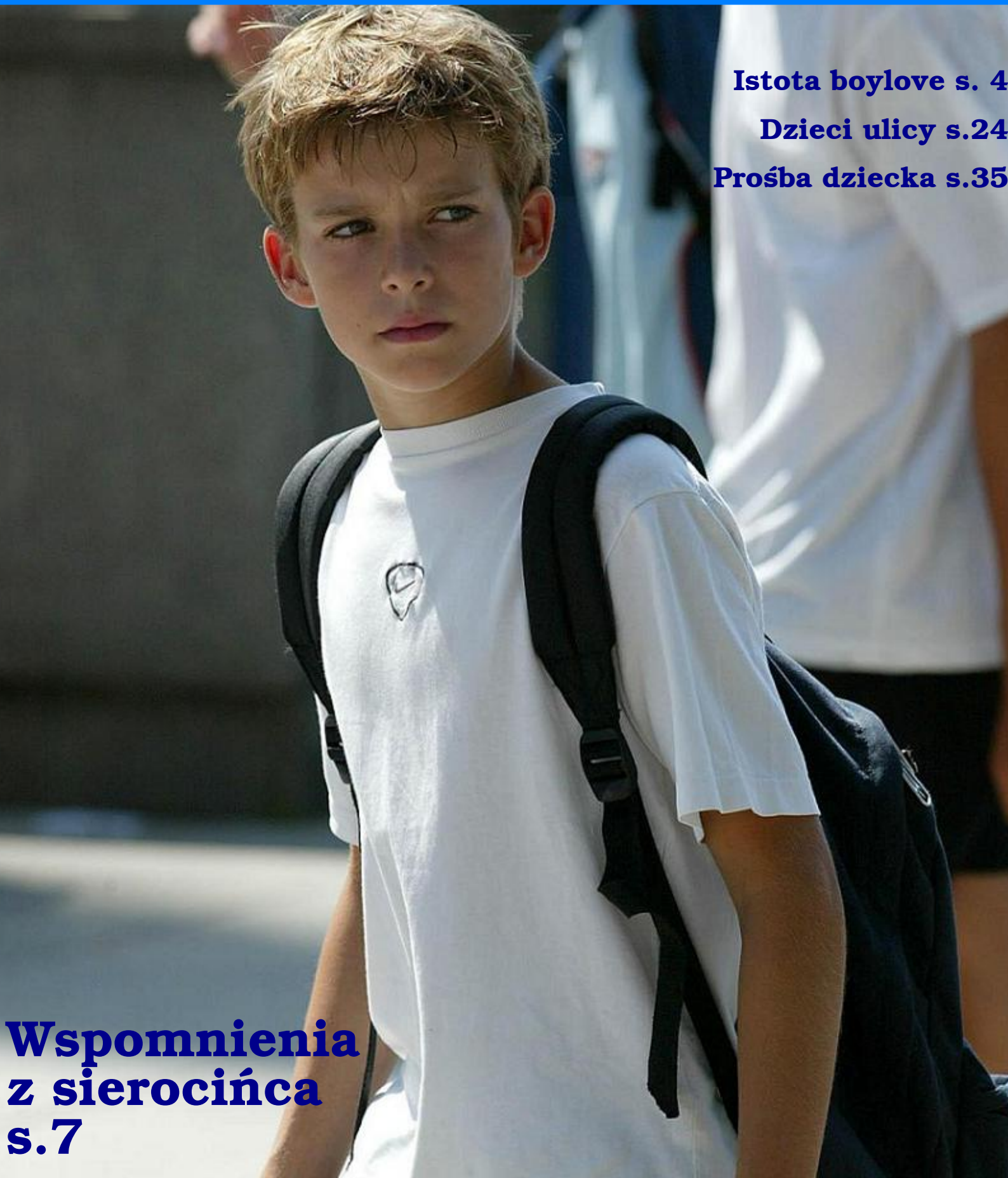
11 luty 2009

Istota boylove s. 4

Dzieci ulicy s.24

Prośba dziecka s.35

**Wspomnienia
z sierocińca
s.7**



Spis treści

strona 3 - **Wstępniak** - *Little Tiger*

strona 4 - **Istota Boylove** - *Filip*
felieton

strona 7 - **Wspomnienia z sierocińca** - *Małgosia*
temat numeru - pamiętnik

strona 24 - **Dzieci ulicy** - *Neapol* - *Sergio Siano*
fotoreportaż

strona 28 - **Szkoła życia** - *Domek*
opowiadanie

strona 33 - **Janusz Korczak** - *opracowanie LT*
biografie

strona 37 - **Wakacje** - *Tas*
opowiadanie

strona 39 - **Dziecięca Eurowizja** - *opracowanie LT*
wschodzące gwiazdy

strona 42 - **Ten jedyny** - *anonim* / *wspomnienia*

strona 48 - **Chłopiec w pasiastej piżamie** - *Błażej*
recenzje - film

strona 50 - **Moje drzewko pomarańczowe** - *Kasia*
recenzje - książka

strona 52 - **Wątpliwość** - *opracowanie LT*
rozmowa - film

strona 54 - **Zbiór wierszy** - *Oskar*
wiersze



Wstępniak

Witam wszystkich w pierwszym numerze magazynu "Chłopiec", który jest pierwszym polskim magazynem boylovera i z tego miejsca chciałbym mocno podziękować wszystkim za jakąkolwiek pomoc! Bardzo długo trwało powstanie tego numeru. Wielu z Was powie - zbyt długo. Tak to już jest z nowymi inicjatywami, zawsze pojawiają się jakieś niespodziewane problemy, "siada" motywacja i końca nie widać...

To na szczęście już przeszłość, "Chłopiec" jest już w Waszych rękach (na komputerach?) i czeka Was 58 stron przyjemnej, mam nadzieję, lektury. I co najważniejsze - nie ma reklam!

Dla kogo jest adresowany "Chłopiec"? Przede wszystkim do tych, którzy kochają chłopców. Ale nie tylko! Każdy miłośnik dzieci, a także ten, który dzieckiem chciałby być ponownie - znajdzie w tym magazynie treści dla siebie odpowiednie.

Co znajdziecie w środku? Wiele artykułów pisanych przez użytkowników forum boylover.net, jak również przez przyjaciół z chłopcami luźno związanymi. Pozycją obowiązkową jest dosyć obszerny artykuł "Wspomnienia z sierocińca" o prawdziwym życiu w kambodżańskim domu dziecka. Inną ciekawą pozycją jest "Istota boylove", gdzie tytuł mówi sam za siebie. Również gorąco namawiam do przeczytania naszych opowiadań, recenzji oraz trzech specjalnych artykułów - "Dziecięca Eurowizja", "Janusz Korczak" oraz "Wątpliwość". Na sam koniec zostawiłem trzy wiersze autorstwa Oskara.

Magazyn nie ma formy idealnej, nie znajdują się w nim wszystkie teksty, które chciałbym umieścić, grafika stoi na dosyć niskim poziomie. Mimo wszystko mam nadzieję, że powstanie drugi numer, który pierwszy pobije na głowę. Liczę tutaj przede wszystkim na Wasze wsparcie, a i ja będę bogatszy o nowe doświadczenia i umiejętności.

Chciałbym Was teraz zaprosić do lektury, a po lekturze do dyskusji w Polskim Pokoju na stronie Boylover.net. Miłego czytania!

*redaktor naczelny:
Little Tiger*

Istota boylove

Co to za gość, ten boylover? W powszechnej (kształtowanej przez media uwielbiające straszyć leniwego umysłowo obywatela) jest to pedofil preferujący chłopców. Innymi słowy – nie dość, że pedał, to jeszcze pedofil. Facet, który na widok nieletniego ma wzwód, a ślina ścieka po jego starym pysku na podobieństwo sznurówek w chińskiej podróbce trampek conversa. Poszukuje biednych uciekinierów z domu na dworcach kolejowych, mami ich kasą i grammi komputerowymi, a w najgorszym razie ciepłym posiłkiem i możliwością przenocowania. Kiedy już omota ofiarę, zmusza do seksu zręcznym psychologicznym fortem, albo w skrajnym wypadku poi alkoholem i gwałci. Musi z tym jakoś żyć, usprawiedliwia więc siebie i uspokaja sumienie wmawiając sobie i innym, że przecież pomaga chłopcom – daje im pieniądze, prezenty, pomaga w nauce, rekompensuje brak zainteresowania ze strony rodziców. Faktycznie jednak, celowo wyszukuje dzieciaka zagubionego, sfrustrowanego, zaniedbanego emocjonalnie, a wszystko, co dla niego robi ma tylko jeden cel- doprowadzić do fizycznego zbliżenia. Najpierw proponuje, że zrobi chłopcu masaż, potem pokaże jak trzeba się całować z dziewczyną, by w końcu skłonić do tego, co kk. nazywa „inną czynnością seksualną”. Ofiara traci na zawsze możliwość podjęcia normalnego współżycia z kobietą, założenia rodziny i kończy samobójstwem albo udzielając wzruszającego wywiadu u Drzyzgi.. W powszechnej opinii boylover to niebezpieczny potwór, którego należy izolować, kastrować, zabijać.

I co Ty na to? Widzisz w tym opisie siebie? Kiedy ostatnio robiłeś chłopcu masaż? Kiedy płaciłeś nieletniemu za seks? I w końcu, kiedy ostatnio uprawiałeś seks z nieletnim? Czy w ogóle uprawiałeś seks z nieletnim?!

Otóż to. Następuje moment w życiu, kiedy uświadamiasz sobie, że jesteś homoseksualistą. I najczęściej nie jest to trzydziesta ani nawet dwudziesta wiosna Twojego życia. Mając jakieś 14 lat zaczynasz rozumieć, że bardziej podoba Ci się wokalista boysbandu niż Shakira, śni Ci się kolega, z którym uczęszczasz na aikido a nie koleżanka z klasy, w której kocha się połowa gimnazjum, i która na Twoje nieszczęście podrywa właśnie Ciebie. Piszę „uświadamiasz sobie” – to doznanie, którego nie doświadczają Twoi rówieśnicy. Oni po prostu są heteroseksualni i nie muszą sobie odpowiadać na żadne trudne pytania. Warto jednak w tym miejscu przeprowadzić pewną paralelę. Czy Twoi koledzy, nawet w latach największego szaleństwa hormonalnego, rzucali się na wszystkie dziewczyny bez wyjątku? Czy fakt, że podobają się im kobiety jest równoznaczny z tym, że gwałcą je, zniewalają i dążą do tego, by przelecieć je wszystkie? Kiedy widzą kobietę, to natychmiast postrzegają ją jak obiekt igraszek łóżkowych?

Tymczasem gej stanowi zagrożenie dla każdego, kto ma penisa. Jeśli miałeś nieostrożność ujawnić się w szkole, to mogłeś zaobserwować, jak w szatni po lekcjach pływania nawet najbrzydszy pryszczaty grubas, który wywoływał w Tobie raczej torsje niż szybsze bicie serca, nie chciał się przebierać w Twojej obecności. Bo pedał na pewno by go przeleciał...

A ten jedyny, o którym myślałeś przed snem i dla którego zrobiłbyś wszystko, a który nawet Cię nie zauważał... był nieletni! O Moj Boże! Już w wieku 14 lat byłeś boyloverem! Fakt, ale wszyscy chłopcy w Twojej klasie byli girloverami.

Po latach nadal podobają Ci się młodzi chłopcy. Dziwne? Pewnie powinni Ci się podobać faceci po pięćdziesiątce, z wielkim obwisłym brzuchem, kłakami na plecach i w nosie i łysym placem na potylicy. Nikogo by to nie dziwiło.



Jakoś nikt nie wybucha słusznym gniewem na tych, którzy mają już czwartą zonę i każda kolejna była młodsza od poprzedniej. Nie potępia się widzów pokazów mody, podczas których trzy-nastoletnie dziewczynki prezentują stroje bikini.

Boli Cię, kiedy widzisz nieszczęście dziecka. Szczególnie, jeśli jest to chłopiec. Taką masz orientację, jesteś gejem. Dziecko najłatwiej jest skrzywdzić. Nie godzisz się na to. Pomogasz. Jak? Jakkolwiek. W nauce, dobrą radą. Myślę jednak, że o boyloverstwie stanowi coś jeszcze i kto wie, czy nie to właśnie jest najistotniejsze. Otóż boylover ma świadomość, że na świecie są jeszcze i pedofile, którzy też „kochają” chłopców. „Kochają” miłością dżokeja. Spytaj jakiegokolwiek dżokeja, czy kocha konie. Każdy Ci powie, że tak, że ma z nimi świetny kontakt, i że konie go też uwielbiają. A potem przyjrzyj się temu, jak traktuje ukochanego konia. Dbą o niego. Czesze, karmi, czyści. Potem wkłada mu do

ust metalowe narzędzie tortur (a żeby łatwiej je dopasować do swoich celów, usuwa koniowi pierwsze trzonowce) i chłoszcze go batem, kłuje ostrogą i bije do utraty przytomności.

Prawdziwy boylover musi uchronić potencjalną ofiarę przed pedofilem „dżokejem”. Skoro chłopiec Ci zaufał, ni z tego ni z owego postanowił z Tobą pogadać, zwierzyć się, poprosić o pomoc, to znaczy, że tego właśnie potrzebował. Właśnie tego. Dobrze, że trafił na Ciebie. Ilu jednak mając takie potrzeby trafia na „dżokei”?

Opowiedz swojemu chłopcu o tym jak należy poruszać się bezpiecznie po Internecie, by nie trafić na pedofila. Poinformuj fundację KidProtect o stronach pedofilskich, donieś administracji rapidshare o linkach do treści pedofilskich. Świata nie zbawisz, ale pamiętaj, że ci chłopcy udający rozkosz na filmach kręconych przez cynicznych boyfuckerów są do tego zmuszani. Może spotkałeś się z tego typu produkcjami. Wiesz dlaczego zamiast

oryginalnych dźwięków mają podkład muzyczny? Bardzo byś się zdziwił usłyszawszy słowa „reżysera”. Te dzieci są wybierane w domach dziecka i wśród bezdomnych. Myje się je, czyści, czesze, zapudrowuje siniaki. Bezdomny dostaje kasę. Niewielką. Chłopiec z domu dziecka najczęściej nie dostaje nic, bo honorarium zgarnia dyrektor placówki. Być gejem, boyloverem to jedno, ale oglądanie scen PRAWDZIWEGO gwałtu to zboczenie.

Boylover kocha chłopców. Tym różni się od pedofila.

A co z wiekiem przyzwolenia? Przecież nie jest to sprawa jednoznacznie uregulowana. Czy dzieciaki w Jemenie są tak dojrzałe w wieku 9 lat, jak polskie piętnastolatki? Czy to nadmiar słońca powoduje, że dwunastolatek z Meksyku, albo trzynastolatek z Hiszpanii może świadomie podjąć decyzję o zgodzie na współżycie a jego rówieśnik z deszczowego Madagaskaru musi czekać jeszcze 9 długich lat?

Dobrze pamiętam, że jako 11 latek miałem sprecyzowane poglądy na to, kto mi się podoba i jedynie brak właściwego, odważnego partnera nie pozwalał mi na realizację mojego popędu w sposób, który byłby dla mnie wówczas najbardziej satysfakcjonujący. Gdyby tylko znalazł się wówczas w pobliżu mądry, obyty i kochający chłopak w wieku 15-18 lat, z pewnością pozwoliłbym mu na wiele więcej niż tylko „inną czynność seksualną”. I zrobiłbym to świadomie.

A co, jeśli byłby to facet myślący tylko o własnych potrzebach, który zrezygnowałby ze mnie kiedy tylko zaczęły się u mnie pojawiać włoski pod pachami? Jak bym to przeżył? Nie wiem, bo o ile byłem wystarczająco dorosły na podjęcie współżycia, to nie jestem pewien, czy emocjonalnie potrafiłbym poradzić sobie ze

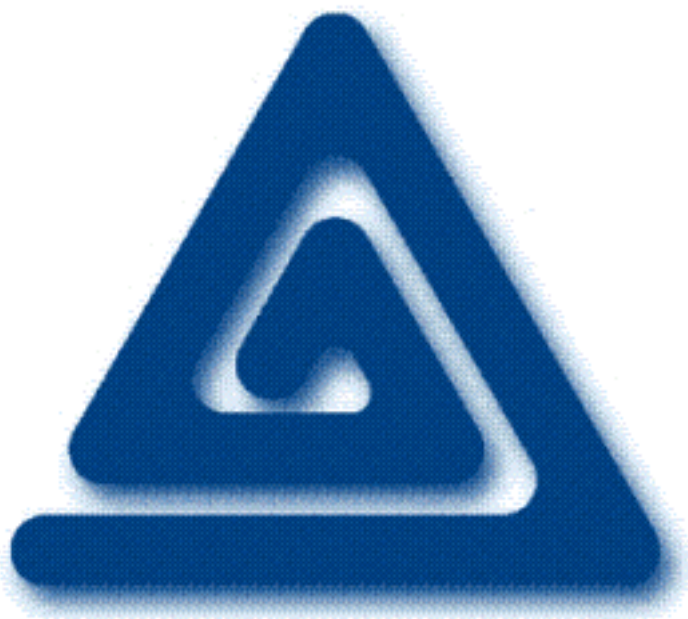
smutną prawdą, że nie jesteśmy wiecznie atrakcyjni.

To prawda, że mając trzynaście lat czułem się dorosły. Z perspektywy czasu wcale nie twierdzę, że było inaczej. Miałem swój rozum. Ale znałem wielu starszych ode mnie chłopców, którzy nie wiedzieli, że członek nie służy jedynie do oddawania moczu, a „pedał” to nie określenie na niezbyt mądrego kolegę. I co z ich wiekiem przyzwolenia? Myślę, że nawet 15 lat to w ich przypadku za mało.

Myślę, że nie musimy podróżować po świecie w poszukiwaniu kraju z najmniejszym progiem dopuszczalnego seksu. Skoro najważniejsze jest to, że chcemy pomagać, kochać, być przyjaciółmi, to możemy poczekać aż chłopiec skończy 15 lat. A jeśli chodzi tylko o realizację popędu, albo wysuwa się on na pierwszy plan, a potem to już chłopak jest „za stary”, to raczej trudno mówić o boyloverstwie.

Wykorzystywanie „towaru” dopóki nie minął termin przydatności to pedofilia.

Filip



Wspomnienia z sierocińca...



Piątek, 5.12.08

Dzisiaj wybieram się na tance khmerskie do ośrodka dla sierot prowadzonego przez organizację pozarządową. Mieszka tu 68 dzieci wraz z opiekunami, są to dzieci w różnym wieku i większość z nich występuje jako tancerze. Przedstawili nam składankę tańców klasycznych i ludowych swojego kraju jak Np.: taniec wieśniaka, taniec rybaka czy taniec małp. Wszystkie dzieci są pięknie i kolorowo ubrane, dziewczynki mają nawet makijaż. Impreza trwa godzinę a na zakończenie dyrektor opisując sytuację sierocińca prosi o datki na jego utrzymanie. Impreza jest darmowa, w każdym hotelu leżą reklamówki zapraszające na ten występ (zaczyna się o 18.30) A ośrodek znajduje się niedaleko szpitala dziecięcego przy wyjeździe z Siem Riep w kierunku do Angkor Wat.

Dziećmi opiekują się i uczą je nauczyciele wolontariusze. Przeciętnie nauczyciele przyjeżdżają tu na miesiąc, nie wymaga się od nich żadnych kaucji tak jak to jest w przypadku wielkich organizacji charytatywnych i nagle wpadam na pomysł może by tu na jakiś czas zostać, bo też myślałam o takiej formie pracy. Ten wieczór w

sierocińcu był tak wzruszający, a dzieci miały tak smutne oczy i tak bardzo Ignęły do nas, że postanowiłam coś dać im od siebie I stąd ta decyzja o pozostaniu, choć już wcześniej myślałam o takiej formie pracy. Będzie to dla mnie kolejne doświadczenie, wyzwanie i możliwość poznania Kambodży od środka.

Wtorek, 10.12.08

Dzisiaj zaczynam pracę. Tu wszyscy bardzo cieszą się z mojego przybycia, a dzieci witają się bardzo wylewnie ze mną. Umówiłam się z kierownikiem ośrodka, że będę mieszkała w szkole, że tak będzie wygodniej dla obu stron. Na pierwszy rzut oka widać już, że nie ma tu żadnego porządku, dzieci biegają wszędzie, brak jest dyscypliny i organizacji. Rozmawiam z innymi wolontariuszami i obserwuję bawiące się dzieci. Część z nich ćwiczy nowe układy taneczne, a inne grają na tutejszych instrumentach. Chyba więc ciszy i spokoju to tu raczej nie zaznam. Starsze dzieci wracają akurat ze szkoły (tej kambodżańskiej), podchodzą do każdego z nauczycieli i składając ręce oraz dygając



oznajmiamą po angielsku, iż wróciły do domu ze szkoły. (Teacher, I'am back home from school). Taki tu panuje zwyczaj i powtarzany jest też przy wychodzeniu do szkoły. Wszystkie mają białe bluzki i granatowe spodniczki bądź spodnie.

Muszę jeszcze też wypełnić kwestionariusz osobowy, ktoś robi mi zdjęcie i dostaje 2 służbowe podkoszulki w kolorze pomarańczowym z logo szkoły oraz identyfikator. Nareszcie mogę wejść do swojego pokoju, którym okazuje się być jedna z mniejszych klas – o powierzchni może 14m². Dostaję bambusową matę i materac z gąbki oraz koc do przykrycia – noce są teraz bardzo chłodne. Mam tu tablice i 2 ławki a na jednej z nich robię sobie stanowisko komputerowe. Na moje szczęście i ku mojej radości szkoła ma Internet bezprzewodowy i dzięki niemu mam kontakt ze światem. Dzieci są wszędzie i zagląдают do mnie przez okno. Jest ono jednak okratowane, a drzwi zamykają się na klucz. Na oknie wieszam 2 zasłony, które są kurtynami ze sceny) i dzięki temu mam tu trochę intymności. Dom, w którym mieści się sierociniec to duża willa zbudowana na małej działce. Dzieci, a jest ich tu 68 śpią na zewnątrz, dziewczynki z jednej strony domu, pod zadaszeniem i wielką moskitiera, a chłopcy na podeście (scenie), każdy na materacu, a do przykrycia się służą im cienkie koce.

Juz wieczorem ktoś z obsługi prosi mnie bym przeprowadziła lekcje angielskiego. Mam to zrobić za jakiegoś innego nauczyciela, za kogo to nie wiem, to jest nieważne. Pracuje tu też kilku miejscowych nauczycieli i też są wolontariuszami. Poziom jest niski, tylko starsze dzieci mają książki, a raczej kserówki odbite ze starych książek wydawnictwa Longman, a przy tych małych trzeba wykazać sporo inwencji, niektóre nawet nie umieją jeszcze pisać. Nie mówiąc, iż nie potrafią trzymać w reku ołówka. Oczywiście nie ma kaset, ani sprzętu do odtwarzania płyt CD.

Szczęściem, że choć są tablice i markery (tablice są białe, ale już mocno zniszczone).

W budynku jest kilka małych klas i dwie duże urządzone w holu na parterze i piętrze urządzone bardzo starymi ławkami. Na dole jest kuchnia, przy której jest łazienka (nieco zdezelowana) i właśnie tu mogę się myć (zimna woda), a dzieci myją się pod pompą na podwórku, choć chyba nie codziennie. Posiłki są przygotowywane na małym placu na zewnątrz kuchni w warunkach bardzo prymitywnych – wszystkie czynności, które wykonują przy tym kobiety odbywają się na ziemi, na bambusowej macie. Wszyscy dostają 3 posiłki dziennie: przeważa ryż, którego pochłania się tu straszne ilości (ok. 50 kg dziennie), a do tego jest najczęściej odrobina rozrzedzonej zupy rybnej z warzywami, którą tutejszym zwyczajem polewa się łyżką na ryż. Obsługa w liczbie ok. 20 osób i my - wolontariusze jemy wspólnie, ale z tego co zauważyłam do tej pory to mamy lepsze jedzenie niż dzieci. Nie podaje się dzieciom żadnych owoców, po prostu brak na to środków...

Każdego wieczoru dzieciaki występują dla turystów i kolacje jedzą już o 18ej natomiast my dopiero o 20ej i jest zakrapiana odrobina lokalnego wina "srasor" o bardzo ciemnej barwie, które ma rozgrzać i chronić przed



przeziębieniem właśnie w okresie zimowym. Pierwszego wieczoru siedzieliśmy do późna przy kolacji i zastanawialiśmy się, jakich metod użyć by lepiej rozreklamować tance khmerskie wykonywane przez dzieci. Sierociniec utrzymuje się z datków od turystów oraz z pieniędzy ofiarowanych przez sponsorów. Niestety bardzo mało turystów przychodzi oglądać występy, choć ulotki są rozmieszczone w wielu punktach miasta.

Środa i czwartek, 10-11.12.08

Dzieci wstają już przed szóstą, a część z kobiet, które tu pracują jako niańki, sprzątaczk i kucharki dużo wcześniej. Pierwsza grupa wyrusza do pobliskiej szkoły podstawowej o 7ej i wraca o 11ej. Druga wyrusza o 13ej i wraca o 16ej lub 17ej. Nie dostałam jeszcze żadnego planu lekcji i wczoraj miałam znienacka 3 godziny angielskiego za jakiegoś nauczyciela.

Trudno jest tu się połapać w tym bałaganie. Organizacja jest pod psem. Załoga większą część dnia spędza na szwendaniu się, (czyli nic nierobieniu), może oprócz paru kobiet, które przygotowują posiłki, co z kolei nie zajmuje im zbyt dużo czasu, bowiem są one bardzo proste. Sprzątają byle jak, zmywanie naczyń pozostawiają dzieciom, jedyne co, to zamiotają podwórze i ganek. Na piętrze, gdzie ja mieszkam i są 3 klasy jest już tyle śmieci, iż nie da się przejść. Kiedyś, gdy zaczęłam zamiatać podłogę to któraś z kobiet zabrała mi miotłę, zamiotła kawałeczek podłogi i po chwili się zmyła.

Na śniadanie jest tylko ryż, najczęściej ten z dnia poprzedniego polany sosem rybnym lub sojowym z czosnkiem. Czasem dzieci jedzą coś, co zostało z kolacji ‘załogi’, czyli resztki z pańskiego stołu. Jest to zimne i mało smaczne. Miedzy posiłkami wsuwają odgrzany ryż – takie chrupki z ryżu. Mniejsze chodzą z tym po całym budynku i śmiecą wszędzie. Nie kupuje się owoców, soi i mleka sojowego, którego jest tu zatrzęsienie, a młode organizmy potrzebują przecież diety urozmaiconej, a nie tylko samego ryżu. Na przeciwko domu jest mała



ogrodzona i zadaszona działka i tu odbywają się przez cały dzień próby tańca i gry na instrumentach muzycznych – na bębnach i wielkich cymbałach, przez co muzykę mam za ‘darmo’. Odrobina ciszy jest tylko w porze lunchu. Wszystkie dzieciaki są podzielone na kilka grup i na zmianę ćwiczą tu bez mała cały dzień. Dobrze, że mam zatyczki do uszu i nauczyłam się w nich spać, bo chyba bym nie wytrzymała tego hałasu.

Lekcje języka angielskiego odbywają się w szkole przez cały dzień. Przychodzą tu również dzieci i młodzież z zewnątrz i mają te lekcje za darmo. Te najmłodsze są dowożone przez rodziców a starsze przyjeżdżają na rowerach lub motorach. Jest nas tu czwórka wolontariuszy: Ashley – młoda Amerykanka, Neil – Anglik, jakaś nabuzowana i niesympatyczna Austriaczka i ja. Wszyscy poza mną mieszkają w hotelu. Mam 3 godziny rano od 7-8 i od 9-11 i jedną wieczorem od 19-20. Neil zaczyna zajęcia już o 6ej rano i zostanie tu jeszcze do końca roku. Ashley była 2 tygodnie i niestety już w tym tygodniu opuści sierociniec. Każdy stara się tu jakoś pomóc i spędzać czas z dziećmi.



Dzieciaki są przesympatyczne i wesołe. Lgną do każdego, a gdy już lepiej kogoś poznają to chodzą krok w krok. Ciężko się z nimi porozumieć – ich angielski to straszna cienizna. Niektóre przychodzą do mnie z różnymi skaleczeniami i ranami. Już w pierwszym dniu mały chłopak pokazał mi ropiejącą ranę na rękę, więc wzięłam go do pokoju by ją opatrzyć, a po 15 minutach przyprowadził mi pięciu następnych. Mam maść, plastry i trochę lekarstw, które moi przyjaciele z Polski mi zostawili. Kierownik powinien im zapewnić opiekę lekarską, ale chyba się tym zbytnio nie przejmuje. Wszystkie mają wszy i wzajemnie się iskają. Jedyną radą byłoby zgolić im włosy, co jest nierealne szczególnie w przypadku dziewcząt – prawie wszystkie mają długie i tańczą. Poradziłam kierownikowi kupno specjalnego szamponu jednak widzę, iż to zignorował. Jego zachowanie i nie tylko jego, ale również pracowników, zaczyna mnie irytować. Już wiele rzeczy mi się tu nie podoba jednak nie jestem w stanie temu zaradzić i trzymam język za zębami.

Mimo wszystko wiedzie im się tu lepiej niż wegetując na ulicy, czy będąc uzależnionym od narkotyków (takie też tu są). Są tu dzieci z bardzo licznych rodzin, gdzie nie było co jeść. Mogą przynajmniej chodzić do szkoły, dostają jeść i uczą się w życiu czegoś pożytecznego (tańca, angielskiego, itd.)

Niektóre są tu z braćmi lub z siostrami i wszystkie bardzo opiekują się młodszymi. Prawie nie widać agresji. Każdego wieczoru ktoś z obsługi i dzieci oraz niektórzy wolontariusze (jak chcą) jadą do centrum vanem tej organizacji (ACODO) w celu rozdawania turystom ulotek reklamujących tańce wieczorne wykonywane przez dzieci. Turyści biorą ulotki lub nie, zainteresowanie jest różne, ale dzięki tej reklamie zawsze ktoś przyjedzie na występy. Codziennie wieczorem inna grupka dzieci jeździ rozdawać ulotki i sprawia im to dużą radochę.

Piątek, 12.12.08

Mam zajęcia od 9-11. Dzieci przychodzą w 2 grupach – spóźniają się jednak, bo w międzyczasie mają lekcje tańca i gry na instrumentach, a to się wydaje ważniejsze. Nie mogę się doprosić by przychodziły punktualnie. Nikogo to nie interesuje. Dzieci codziennie po kolacji, którą spożywają o 17.30 zaczynają przygotowania do występów – robią makijaż i przebierają się. Reszta biega lub bawi się, a jeszcze niektóre odrabiają lekcje gdzieś po kątach. Gdy zjawiają się turyści, są oprowadzani po ośrodku, bawią się z dziećmi, fotografują, a potem muszą wpisać się do księgi gości i mile widziany jest jakiś datek pieniężny. Niektórzy przynoszą prezenty: ołówki, zeszyty, długopisy lub cukierki, lecz często rzeczy te od razu lądują w magazynie. Kiedyś ktoś przyniósł balony, od razu je przechwyciłam, rozdałam i dzieci bawiły się nimi, wprowadzie krótko, bo popękały, ale radości było co niemiara. Jagoda zostawiła mi woreczek z polskimi drobnymi monetami to bawią się nimi do tej pory. Te przynajmniej się nie zniszczą i nie pękną.

Sobota, 13.12.08

Muszę zrobić pranie i kiedy idę w kierunku pompy to jeden z pracowników prowadzi mnie do pralki znajdującej się w kuchni. Pralka jest automatyczna (prezent od jakiegoś darczyńcy), ale używają jej tylko

pracownicy. Gdy pytam, czy rzeczy dzieci też tu się pierze (rzecz jasna, że wiem, iż nie) dostaje głupią odpowiedź: „nie, bo dzieciom to się nie podoba i rzeczy nie są doprane, a zwłaszcza kołnierzyki”. Bardzo wygodna odpowiedź. Po lunchu jest wielkie wydarzenie dla chłopców – podstrzyżyny, które odbywają się raz w miesiącu. Przybywa 2 fryzjerów i obcinają chłopcom włosy na języka. Dzieci są podekscytowane i mają wielką frajdę.



Niedziela, 13.12.08

W tym dniu wszyscy śpią trochę dłużej, nikt nie idzie do szkoły, ale już po śniadaniu zaczynają się próby tańca i muzyki. To jest tu najważniejsze i to przynosi dochód. Dziwie się, że jeszcze nie ogłuchłam. Wybieram się na wycieczkę po mieście. Dzieci i młodzież to przyszłość narodu kambodżańskiego. W okolicznych kościołach Księża pomagają dzieciom w nauce i organizują liczne kursy (angielskiego, jez. khmerskiego, kurs higieny, tańca itp.).

Na lunch wracam już do ośrodka. Trafiam akurat na akcje rozdawania ciastek. Dzieci stoją w 4 szeregach (co się często zdarza), poddane są najpierw krótkiej musztrze, którą pan kierownik bardzo lubi, a po niej każdy dostaje po 3 ciasteczka. A my mamy

wykwintny obiad z kurczakiem i winem palmowym... Wieczorem jak zwykle jadę z dziećmi rozdawać ulotki. Postanowiłam, że będę uczestniczyła w tym zajęciu co drugi dzień. Uważam, że to bez sensu tak jeździć codziennie, bo ciągle spotyka się tych samych turystów. Zazwyczaj ludzie przyjeżdżają tu na 3-4 dni więc prawdopodobieństwo spotkania tych samych turystów jest duże. Wspomniałam o tym kierownikowi, ale to jak rzucanie grochem o ścianę.

Poniedziałek, 15.12.08

Cieżko się uczy tak bez książek, bez magnetofonu. Dzieci są źle podzielone na grupy i rozpiętość wiekowa jest bardzo duża. Niektóre piszą jeszcze wolno, albo są mniej rozgarnięte, hałas jest straszny (ściany są drewniane), a te najmłodsze, które nie mają żadnego zajęcia ciągle przeszkadzają. W życiu sobie nie wyobrażałam, że w takich warunkach można prowadzić lekcje. Zasugerowałam nowy podział dzieci z sierocińca na mniejsze grupy, ale czy to poskutkuje to zobaczymy. Raczej kierownik się nie przejmuje ich nauką, dla niego ważna jest taniec i muzyka. On narzeka, że nie można zapanować nad dziećmi (a wcale nie trzeba), ale w ogóle nie umie wprowadzić żadnej dyscypliny. Wystarczy im dobrze rozplanować czas. Ashley też już ma dosyć, ona uczy przedszkolaki z zewnątrz, a nasze

dzieciaki ciągle jej wchodzą do klasy i przeszkadzają. Uczę też piosenek i tu bardzo pomocne są moje organki. To chyba najskuteczniejsza metoda tu na naukę języka. Jednak całe wieki trwa nim dzieciaki przepiszą słowa z tablicy. Tak by się przydały kserówki. W biurze jest skaner, ale nawet nie proszę o skorzystanie z niego. Czasami jacyś turyści przynoszą kolorowe książeczki, lecz wszystko znika i dzieci tego nie dostają, a to przecież jest dla nich. Szlag mnie trafia...

Dziś wieczorem mamy aż 12 turystów na przedstawieniu, lecz jak się potem dowiaduje zostawili tylko 64\$. Dwójka z nich (z USA) decyduje się na jednodniowy wolontariat i będzie tu przez cały następny dzień. Na kolację podane są owoce (dla załogi), a dzieci akurat stoją w rzędach i słuchają jakiejś przemowy kierownika. Potem sprawdza im paznokcie i te, które mają za długie muszą je poobcinać, szybko więc biegnę po nożyczki i pomagam biedakom, bo inaczej niedostaną cukierków, które już na nich czekają. Szkoda, że nie uczy ich higieny, mycia zębów (pasta jest w magazynie, ale one myją tylko wodą), odrobiny dyscypliny, podstawowych zasad wychowania itd. Chciałabym im tyle przekazać i nauczyć, ale nie mam jak, bariera językowa jest zbyt duża. Ostatnio postawiłam pudło na śmieci na piętrze i pokazywałam im, do czego służy, bo śmiecią wszędzie i nawet te kobiety - sprzątaczkę, rzucają wszystko na ziemię, a szczególnie w łazience, a potem się dziwią, że odpływ jest zatkany. Ci ludzie w ogóle nie mają pojęcia o prostych rzeczach. A owoce, nawet nie śmiem ich ruszyć, kiedy widzę jak dzieci na nie patrzą. Aż nóż mi się otwiera w kieszeni. Na koniec dostają po cukierku i rozchodzą się. Część zakłada pomarańczowe koszulki (służbowe) i oczekuje na wyjazd do miasta. Codziennie inna grupa ma swój dyżur przy rozdawaniu ulotek. Robią to chętnie i taki wyjazd do centrum Siem Reap stanowi dla nich pewne urozmaicenie. Pozostałe dzieci zazwyczaj oglądają telewizję i dopiero gdy reszta wróci z miasta, kładą się spać.

Wtorek, 16.12.08

Pojawili się Amerykanie – wolontariusze, lecz w południe znikają gdzieś wraz z kierownikiem i jego pomocnikiem. Nie mogę się doprosić, aby dzieci przychodziły na angielski punktualnie. Dostałam jakąś listę obecności dla obu grup, ale części dzieci wcale nie ma na tej liście. Ładu dojść nie można. Kiedy wrócili Amerykanie i szefostwo, to wtedy dowiedziałam się, że byli na “zakupach”. Kierownik chciał ich zmusić do kupna projektora, który byłby potrzebny do prezentacji wszelakich danych



wyświetlanych o tymże ośrodku pomiędzy poszczególnymi tańcami. A jeden projektor już jest. Ale ja im wcześniej szepnęłam słówko i uparli się (tzn. Ci Amerykanie), że chcą kupić coś, co będzie potrzebne dzieciom, tak więc kupili mundurki do szkoły. Radość była ogromna, ale krótka. Kiedy zaczęłam je dzieciom przymierzać to okazało się, że część jest za mała. Niektóre części pozamieniałam od innych kompletów (spodnie i bluzki) a resztę trzeba będzie wymienić następnego dnia, tylko kto to zrobi?

Amerykanie dostali jakiś dyplom (certyfikat) i odjechali spokojni, że dobrze wykonali swoje zadanie. I chwala im za to, ale co z tego, kiedy niektórzy uczniowie nie mogą nosić swoich strojów do szkoły? Dyrektor wpadł na pomysł, by w centrum



miasta na nocnym jarmarku postawić scenę i tam pokazywać tańczące dzieci, bo za mało turystów przyjeżdża do sierocińca. Może to i dobry pomysł i ciekawa jestem jak się sprawdzi. Ja tymczasem jeżdżę już codziennie z nimi do centrum, aby rozdawać te durne ulotki.

Środa, 17.12.08

W sierocińcu odbywają się też lekcje z matematyki, chemii i języka japońskiego. Dowiedziałam się ostatnio, że każdy uczeń z zewnątrz płaci 5000 rieli (1.25 \$) za naukę miesięcznie, a lekcje ma codziennie. Sierociniec chce pomóc każdemu, kto tylko chce się uczyć, lecz na ogół uczęszczają tu ludzie (dzieci, młodzież i studenci) bardzo słabi, ci zdolniejsi chodzą gdzie indziej. W zasadzie przez cały dzień odbywają się lekcje, ale co będzie, gdy braknie wolontariuszy? Na razie wole o tym nie myśleć.

Rezygnuję dziś z lunchu i razem z Ashley i Neilem wybieramy się na targ. W południe jest tu już pusto i tylko na kilku straganach można dostać coś do zjedzenia. A kiedy wracam, aż nie mogę uwierzyć w to, co widzę – kierownik zajął się mundurkami,

Sprawdza, każe dzieciom przymierzać, a potem zabiera kilkoro z nich i jadą je wymienić. Bardzo mnie ten fakt cieszy. Cieszę się jednak za wcześnie – potem stwierdzam, że niektóre dzieci i tak mają za małe uniformy. Nie mam siły walczyć, to walka z wiatrakami. Całe popołudnie schodzi mi na podszywaniu spodni (nie cierpię tego zajęcia) i myciu maluchów, a panie opiekunki siedzą i się przyglądają.

Czwartek, 18.12.08

Po południu zjawia się jakaś kobieta z czwórką dzieci – wyglądają jak wystraszone zwierzątka, są brudne i głodne. Kobieta ma być tu sprzątaczką, bo jedna z kobiet akurat rezygnuje z pracy. Dzieci cały czas siedzą pod schodami, na workach z ryżem, nie ruszają się z miejsca i boją się każdego. “Nasze” dzieci też je omijają z daleka, bo tak od nich cuchnie. Wieczorem są pierwsze występy w centrum na scenie postawionej na nocnym jarmarku, miałam też pojechać, ale na mnie nie poczekali, a ja miałam lekcje do 20ej, toteż nie wiem jak to wypadło.

Piątek, 19.12.08

Dziś na lekcji rysuję podstawowe środki higieny (mydło, pastę do zębów, szczoteczkę, itd.) i nawet przynoszę swoje, by pokazać dzieciom i zademonstrować do czego służą. Nowe dzieci (3 dziewczynki i chłopak) tak strasznie cuchną, że wszyscy się od nich odsuwają i demonstracyjnie zatykają nosy. Ja właśnie wykorzystuję tę sytuację by przeprowadzić taką lekcję, a po kieruje ich od razu pod pompę, by się umyły. Teraz mam już też lekcje wczesnym popołudniem od 1 do 2, znowu jakiś khmerski nauczyciel zrezygnował. Nauczyciele lokalni często się zmieniają I maja najczęściej tylko jedną lub dwie lekcje dziennie. W sumie mam już 5 godzin dziennie. Widzę, że najbardziej kierownikowi zależy na uczniach z zewnątrz, no wiadomo – oni za to płacą i nawet, jeśli są to grosze od pojedynczego dziecka to w sumie jest to jakaś gotówka za cały miesiąc.

Tego wieczoru nie zjawil się w sierocińcu żaden turysta. Dzieci były przygotowane na występ i wcześniej wyruszyły do centrum, a ja po swojej lekcji dojechałam do nich. I nareszcie zobaczyłam scenę na nocnym jarmarku. Jest dużo mniejsza niż ta tutaj i występ jest krótszy. Zainteresowanie jest spore, ale wielu turystów ogląda występy przy okazji kupowania pamiątek i odchodzi. Tylko nieliczni siadają na przygotowanych krzesłach, a potem wrzucają do puszek jakieś pieniądze. Scena jest między straganami na końcu night marketu, trochę za daleko, ale nie było innego miejsca. Dzieci są strasznie zmęczone, bo teraz mają 2 występy. Mówiono mi, że będą tańczyć na zmiany, ale przygotowanie innych dzieci do tańców wymaga dłuższego czasu.

Sobota, 20.12.08

Jedziemy na wieś (vanem) z szefem i 3 pomocnikami by znaleźć 2 kobiety do pracy i 4 dziewczynki do tańców. Pierwsze co robi kierownik po opuszczeniu sierocińca to zarządza postój na śniadanie w knajpie. Wiecej to tak się wydaje forszę. Ja piję tylko kawę, a reszta je zupę z makaronem i mięsem. Widać, że oni lubią jeździć na wycieczki (wydają na benzynę miesięcznie aż 350\$, a ja dziwiłam się dokąd tak jeżdżą). Teraz już wszystko jest jasne – jakieś przejażdżki i posiłki w knajpach. Podróż do wioski, która jest oddalona o jakieś 50 km trwa aż 2.5h, bo droga jest fatalna. W wiosce jest poruszenie nie lada – wszyscy się zlatują by nas zobaczyć - dużo dzieci chce z nami pojechać, wiedzą, że im będzie lepiej w sierocińcu. Rodziny są bardzo liczne i biedne, mieszkają w chałupinach na palach pokrytych liśćmi z palmy i nawet nie ma studni. Wszędzie pełno brudnych, wychudzonych psów. Dzieci są brudne i rozczochrane, a część jest odziana łańchmanami, aż żal serce ścisnąć jak się na nich patrzy. Atmosfera bardzo się poprawiła po tym winie, mówimy kierownikowi, co należałoby zmienić by sierociniec lepiej funkcjonował. W dobrych humorach jedziemy z nową kobietą do pracy i 4 dziewczynkami do Siem Reap.

Niedziela, 21.12.08

Dziś od rana wprowadzane są nowe porządki. Dzieci stoją na placu w szeregach i słuchają jakiejś przemowy kierownika o higienie, dostają kubki, lub musza je poszukać, bo już kiedyś dostali, szczoteczki do zębów, pastę i ręczniki. Opisuję im te akcesoria specjalnym mazakiem, który zostawiła mi tu Ashley. Cieszę się, że coś drgnęło. Dzieci muszą przejrzeć swoje rzeczy, uprać brudne, a nawet jedna z nianiek bierze je do pralki, ale chyba pierze bez proszku, bo go nie dostała. Każda ze starszych dziewczynek dostaje pod opiekę mniejsze dziecko i ma go codziennie umyć i uprać mu rzeczy. Wcale mi się to nie



Są 2 niańki i to jest ich praca, ale nie odzywam się, bo to i tak nic nie da. Nawet ktoś z załogi poszedł na targ i kupił wieszaki na ręczniki. Zasugerowałam by nawet gwoździe powbijają do ściany i napisać przy każdym numer taki jak numer szafki każdego dziecka, ale oczywiście do tej pory nie zostały zamocowane.

Wszyscy przychodzą do mnie po aspirynę i paracetamol albo jakieś maści i dobrze, że je mam i to dzięki przyjaciółom z Polski. Ale jak jednego boli głowa to drugiego zaraz też i chcą tabletkę. Rozdałam też całą witaminę B by zlikwidować zajady u dzieci, ale to za mała ilość na tyle dzieciaków, a gdyby jadły owoce nie byłoby tego pro-

blemu. Widzę, że czasem jedzą jakieś banany czy mango, ale nie wszystkie, więc nie wiem skąd biorą. Po południu stwierdzam, że część kubków wala się pod łózkami, a gdy chce umyć 2 najmłodszych chłopców, bo cuchną i mają brudne ubrania na sobie, to już też nie mogę znaleźć ręczników. Małe dzieci najczęściej wsadzają mokre ręczniki do szafek, a potem wyciągają cuchnące. Nie ma nikogo, kto by czuwał nad tymi sprawami. A ja się nie mogę z nimi dogadać. Wieczorem w czasie rozdawania ulotek znajduję małego kotka i zabieram do schroniska. Część dzieci cieszy się i zaraz się nim zajmuje, ale większość jest zupełnie obojętna. Stosunek do zwierząt jest tu inny niż u nas i ludzie nie zwracają uwagi na wałęsające się psy. Wyrzucają resztki jedzenia do toalety, a nie przyjdzie im na myśl, by wyrzucić na ulicę, dla psów.

Poniedziałek, Wtorek, 22-23.12.08

Spotykam młodą dziewczynę z USA (Kira), która była tu wcześniej jako pielęgniarzka i teraz właśnie po 2 tygodniach wróciła z krótkiej podróży. To ona zaczęła uczyć higieny i w pokoju, w którym ja śpię zorganizowała izolatkę, zakupiła mnóstwo leków, a teraz stwierdziła, że cała jej praca poszła na marne. Izolatki nie ma, a leki zniknęły. Szlag ją trafił. Opowiadam jej o wczorajszej "lekcji" higieny i teraz rozumiem skąd takie poruszenie. W sobotę ona wysłała 4 maile do kierownika, że wraca do sierocińca, a oni się jej przestraszyli (może nie do końca). Nawet jej nie odpisali. A teraz, gdy się zjawiała to od razu chcą by wypełniła kwestionariusz osobowy, zadeklarowała sumę pieniędzy, którą chce przekazać na sierociniec, jednak to osoba wyszczekana i mówi, że nie wie czy wróci tu do pracy i musi się zastanowić. Opowiada mi o swojej pracy tu, o tym jak była przy zakupie pralki (kupowali ją Holendrzy), a ja opowiadam o swoich spostrzeżeniach. Stwierdzamy, że nie da się tu nic zmienić, bo oni nie chcą, a z dziećmi nie można się dogadać. A zresztą one są uzależnione od kierownika i jego pomocników.



Nawet Sabina (Austriaczka, okazała się w końcu miłą dziewczyna, ma dopiero 20 lat) opowiadała mi, że była w magazynie i widziała tam leki, zabawki i te tenisówki, które zakupiła Ashley. Zabawek nie daje się dzieciom, bo niszczą – a które dziecko nie niszczy zabawek, gdy jest małe? Część dzieci śpi bezpośrednio na matach bez materacy – bo sikają, usłyszałam. I nikt nie szuka rozwiązania. Koców też jest mało, niektóre śpią w parach, przytulone do siebie pod jednym kocem. Kocyki są cienkie i nawet ja w swoim pokoju nad ranem marznę i przykrywam się jeszcze polarem. A w styczniu będzie jeszcze chłodniej. Dzieci wieczorem są padnięte, te które tańczą na 2 występach usypiają w samochodzie prawie na stojąco. Nigdy nie da się wrócić wcześniej, zawsze jest jakiś poślizg. Dziś jechałam na motorze w 4 osoby i jeden z chłopców siedzących przede mną byłby spadł, gdybym go nie przytrzymała – po prostu usnął.

Najważniejszy jest taniec i trening, który już zaczyna się od rana. Zauważyłam, że nie wszystkie dzieci mają lekcje języka angielskiego. Już kilka razy poruszałam ten temat i nie mogę nic zwojować. Tylko ja uczę dzieci z sierocińca i mam 2 grupy (około 32 dzieci i ciągle muszę ich szukać), a ta reszta, która jest rano w szkole w ogóle nie ma angielskiego. Ja po prostu wczesnym popołudniem, przed treningiem tańca,

muszę zebrać te dzieci i zacząć uczyć. A kierownik ostatnio mi powiedział, że jak za rok przyjadę to zobaczą jak dzieci świetnie będą mówiły po angielsku – tylko ciekawe jakim cudem.

Był tu kiedyś na występach młody Amerykanin z organizacji "The Global Child" z grupką dzieci. Można z nimi było porozmawiać po ludzku, wszystko rozumiały, ale tam angielski jest priorytetem. I ośrodki takie są prowadzone przez Amerykanów. Bardzo dużo ludzi z Australii, USA i Europy pracuje w charakterze wolontariuszy w Kambodży. Strasznie mnie to wszystko irytuje, chciałabym tu tyle rzeczy pozmienić – ale się nie da. Dziś w południe przyjechała jakaś ekipa telewizyjna z Japonii, przywieźli kilka zabawek, ale znowu zniknęły. Wieczorem pojawili się ponownie na nocnym targu i filmowali występy. Czasami, gdy jest tylko 1 turysta na występie w sierocińcu, to nikt się nim nie zajmuje, najważniejsze by wypełnił kwestionariusz i dał forszę. Wtedy program jest nieco okrojony, bo kierownik spieszy się z dziećmi na pokaz odbywający się w centrum.

Jedna z dziewczynek jest chora, nikogo to jednak nie interesuje. Ma gorączkę i jest słaba, a musi występować 2 razy. Wieczorem zjawia się Kira i sugeruje by ją

zabrać do szpitala dziecięcego, który jest niedaleko. Kierownik stwierdza, że skoro chce to niech sama zabierze dziecko. Traktuje ją arogancko i gdy ona ze swoim chłopakiem chce jechać do centrum razem z dziećmi busem (wieczorem, gdy dzieci jadą na występy), to nie ma dla niej miejsca. To jest już szczyt chamstwa i bezczelności. Nawet Neila nie zabierają, bo nie ma miejsca. Ja natomiast jeżdżę z kimś na motorze lub na wózku doczepionym do motocykla, a wracam najczęściej busem.

Środa, 24.12.08

Dziś jest Wigilia, ale dla mnie niczym się nie różni od pozostałych dni. Nauczyłam dzieci śpiewać piosenkę "Jingle bells", ale o świętach nie mogłam im opowiadać, bo za słabo znają język. Natomiast wymyśliłam, że na lekcjach będę pokazywała im zdjęcia, które im ciągle robie. Dziś więc trzymałam komputer wysoko w reku przez kilkanaście minut, tak, aby mogły sobie zobaczyć te fotki. Widziałam jak się cieszyły. Veshna ciągle robi zdjęcia, ale nigdy im nie pokazuje, a jest tu ekran i projektor do wyświetlania, bo przecież wyświetla się turystom różne informacje o ośrodku.

Na próżno też czekałam na przybycie Australijczyków (umówili się ze mną wczoraj), młodych studentów, którzy chcieli spędzić kilka godzin w ośrodku (jako wolontariusze). Zjawili się dopiero po południu, bo "zabalowali" wieczorem, pobawili się z dziećmi i przeprowadzili jakieś lekcje, a potem zostali na występach. Jednak pierwszą rzeczą jaką musieli zrobić po przyjeździe do sierocińca to było wypełnienie formularza i zdeklarowanie sumy pieniężnej, jaką chcą ofiarować. Z okazji Świąt dzieci dostają dziś coś od kierownika - małe kieszonkowe wysokości 1\$. Niestety część tylko po pół dolara, bo była niegrzeczna, nie wiem jak można tak postępować i nie zauważyłam by były niegrzeczne. natomiast rzuciło mi się w oczy, iż kilkoro dzieci jest wyraźnie gorzej traktowane niż reszta i tak np.: nie mają koszulek firmowych pomarańczowych, albo



w ogóle nie biorą udziału w treningach. Na występie tego wieczoru w ośrodku jest aż 16 osób i chyba kierownik zaciera ręce, ale nie zawsze duża ilość turystów przynosi wysoki dochód.



Czwartek, 25.12.08

Część dzieci poszła do szkoły mimo, że są święta. Niektóre szkoły mają 4 dni wolnego, a w niektórych normalnie odbywają się zajęcia. Kambodża to kraj buddyjski, choć jest tu też trochę Katolików. Do południa jedziemy na małą wycieczkę do pobliskiej wsi celem zakupienia kurczaków na świąteczną kolację. Zaraz po opuszczeniu ośrodka zatrzymujemy się w restauracji na śniadanie. Zauważyłam, że szef i jego pomocnicy każdego ranka wyjeżdżają na godzinę, aby sobie zjeść dobre śniadanie - dzieci na nich pracują a oni trwonią forszę. Kiedy wracamy z powrotem to starsi chłopcy oprawiają kurczaki. Robią to bardzo sprytnie, a druga kucharka gotuje pyszną zupę na tych właśnie kurczakach z ryżem i zielonymi warzywami. Dzieciaki pałaszują aż po dwie porcje, taki rarytas nie często im się tu zdarza.

Piątek, 26.12.08

Drugi dzień świąt spędzamy na kilkugodzinnej wycieczce nad małym jeziorkiem w okolicach Angkor Wat. Jest to taki mały piknik. Jedziemy tam dwoma

wózkami przyczepionymi do motorów i vanem. Na miejscu dzieci się kąpią, grają w piłkę, a Veashna fotografuje. On ciągle robi zdjęcia i to całe mnóstwo, nie wiem czy tak często zmienia je na stronie WWW, czy są mu potrzebne do innych celów. Ja też na ogół nie rozstaje się z aparatem i nieraz jestem zła na siebie, ale jak gdzieś nie zrobię zdjęć, to potem żałuję. Mam już sporą dokumentację tu z ośrodka i okolic.

Po powrocie zauważam, że jedna z bliźniaczek ma nadal temperaturę (już od wczoraj) i próbuję wyperswadować kierownikowi by nie jechała na występy na nocny bazar. On stwierdza, że nic jej nie jest (ma temperaturę - 38C), wrusza ramionami i odchodzi. Dziecko ślania się na nogach, pokłada się, ale musi tańczyć, bo nikt jej nie zastąpi. Daje jej kolejną aspirynę, bo tylko tyle mogą dla niej zrobić. Jestem wkurzona i zmęczona, dziś nie jadę do centrum, olewam ich. Niech sami sobie rozdają ulotki, ja idę wcześniej spać.

Sobota, 27.12.08

Od rana mamy turystów, którzy już kiedyś obiecali mi przyjechać z zakupionymi zabawkami: piłki, chyba 10 sztuk, rakiетки do badmintonu, hula hop itd. To jest dopiero szal, wszyscy się bawią. Szef zaproponował, bym uporządkowała i opisała leki w



magazynie, bo nie wie jak je stosować. Zauważył, że dzieci przychodzą do mnie po lekarstwa, plastry i maści i może coś mu się w głowie otworzyło. Są to dary od turystów oraz leki, które zakupiła Kira. Robię to bardzo chętnie, moje zapasy niedługo się skończą. Niektóre dzieciaki są bardzo zainteresowane i towarzyszą mojemu zajęciu i choć nie jest mi to na rękę wcale ich nie przeganiam. Zauważyłam w magazynie kilka śpiworów i znowu się wtrącam - postanowiłam sobie, że to już ostatni raz. Mówię Sobeonowi, aby dał to tym, którzy nie mają koców, a on: „no przecież jest ciepło, ja śpię w podkoszulku”. Ja mu mówię, że ja też marznę, choć jestem w pomieszczeniu, on śpi w samochodzie (!), a dzieci na zewnątrz. Po raz kolejny nic do niego nie dociera.

Niedziela, 28.12.08

Noc jest bardzo zimna, muszę spać w polarze i ciągle myślę o tych biednych marznących dzieciach. Kierownik organizuje im wycieczkę na jakąś gore oddalona o 30 km od Siem Riep. Gdy widziałam jak kierownik szykował się do wyjazdu to flaki mi się przewracały. Trwało to chyba 2 godziny, nie przesadzam, dzieci były gotowe, siedziały na pace ciężarówki, a on szwendał się z kąta w kąt.

Poniedziałek, 29.12.08

Mauricio (Włoch) zdecydował się, że będzie wolontariuszem w ośrodku i nawet się ucieszyłam, bo Neil odchodzi i są godziny do wzięcia (6h), a obawiam się, że mi je wtrynią jak nie będzie żadnego zastępstwa. Lokalni nauczyciele mają tylko po jednej godzinie dziennie. Jednak on wcale nie decyduje się tu na uczenie angielskiego (nigdy w życiu nie uczył i też nie chce przyczyniać się do ich zarobku), chce być czymś w rodzaju pielęgniarza i uczyć dzieci higieny. I wcale nie zamierza przyjeżdżać od rana (mieszka w mieście) – dopiero późnym popołudniem, więc jaki to ma sens? Ale niech działa, może choć jakaś część coś z tego zapamięta. Tłumaczę mu, że to psu na



budę, jeśli nikt tego porządku od rana do wieczora nie będzie pilnował, ale on obstaje przy swoim. Pierwszego dnia pomagam mu nawet zebrać dzieci, przynajmniej te młodsze i zagnać do mycia. Ciężko z tym jest, niektóre są przyzwyczajone do mycia się w ubraniu i tłumaczenie, że to jest żadne mycie nie pomaga, a z obsługi nikt się nie kwapi do pomocy. Chyba obserwują i śmieją się. Mnie się już też odechciewa powoli wszystkiego, to jest bez sensu wszystko. Ciągle uganiam się za dziećmi by przyszły na lekcje i już nie walczę o tą grupę popołudniową. Jak ja wyjadę to pewnie i tak nie będą miały angielskiego, bo taniec jest tu najważniejszy.

Środa, 31.12.08

Dziś mamy wizytę sympatycznej pary z Kanady, z którymi się umówiłam poprzedniego wieczoru. Idziemy na targ po ołówki, temperówki, gumki i banany i zaraz po lunchu wszystko zostaje dzieciom rozdane. Ja też z miejsca temperuję ołówki i może w ten sposób nie zostaną im zabrane.

Piątek, 2.01.08

Od wczoraj też, jeździmy jakąś ciężarówką na występy do centrum (ja na roznoszenie ulotek) i nawet to idzie jakoś sprawniej, jest wcześniejszy powrót, a dzieciaki po drodze grają na instrumentach i śpiewają, ku uciesze przechodzących ludzi i zdziwieniu turystów. Ja już zupełnie inaczej podchodzę do roznoszenia ulotek; traktuję to jako

rozrywkę – gadam z turystami, niekiedy udaje mi się poznać całkiem miłych ludzi. Kierownik ma w planie zakup ciężarówki i występy po całej okolicy, a może i kraju, ale pewnie wtedy dzieciaki nie będą już chodziły do szkoły. No to super.

Sobota, 3.01.09

Tego ranka, jako że to mój wolny dzień, postanawiam wybrać się z dziećmi do ich szkoły by porobić trochę zdjęć. Lekcje zaczynają się już o 7ej. W pobliżu jest podstawówka i ogólniak. Najpierw odbywa się krótki apel i wciąganie flagi na maszt, któremu towarzyszy odśpiewanie hymnu. Dzieci stają ustawione klasami i dopiero po całej ceremonii rozchodzą się do klas.



Niektóre klasy w szkole podstawowej mają przed lekcjami gimnastykę. Wszędzie obowiązują mundurki – białe bluzki lub koszule i granatowe spódniczki i spodnie. Uczniowie przebywają w szkole tylko do 11ej, potem jest już przerwa na lunch i sjęstę. W liceum są zajęcia też w niektóre popołudnia. Poziom nauczania jest bardzo niski, ale z tego co zauważyłam to młodzież garnie się do nauki. Podręczniki są za darmo. Żona kierownika ma na terenie ośrodka mały sklepik ze słodyczami i napojami i zauważyłam, że zarówno dzieci i młodzież przychodząca na angielski jak i te tu mieszkające, kupują za swoje kieszon-

kowe różne łakocie. No świetnie to sobie wymyślił – da im jakieś grosiny raz na jakiś czas, a potem to i tak wylądzuje u niego w kieszeni.

Wtorek 6.01.09

Dziś zjawila się jakaś turystka, która spędziła w ośrodku kilka godzin. Kierownik chciał “wydusić” z niej 200\$ (co za bezczelność) na zakup tenisówek, ale im powiedziała, że nie ma aż tyle i dała 56\$ na materiał potrzebny do uszycia kilku strojów do tańca. Nie wiem czy to jest tu aż tak bardzo potrzebne. Dzieci wcale nie szanują tych strojów, przed występami przebierają się w nie, potem jedzą w nich i tarzają się po brudnej podłodze w kuchni albo na podwórku. Wszystko jest brudne, w plamach i porozrywane (zapinają na agrafki), ale na scenie tego nie widać. Coraz mniej mnie to wszystko interesuje. Na angielski też przychodzi już tylko garstka uczniów. Wcale nie chodzę, nie szukam ich, bo to jest bez sensu.





Środa, 7.01.09

Coraz mniej dzieci z sierocińca przychodzi na lekcje angielskiego, są zajęci tańcami i pewnie to sprawia im więcej radości niż nauka. A mnie już wszystko jedno. Jeśli nie chcą się uczyć to ich sprawa. I tak nie odrabiają prac domowych i nie uczą się. Nie mają na to warunków i czasu. A ja przestałam zabiegać by przychodziły na zajęcia.

Piątek, 9.01.09

Coraz bardziej myślę o jak najszybszym opuszczeniu tego przybytku. Wszystko mnie już denerwuje i moja praca nie ma tu sensu. Nie jestem w stanie nic więcej zrobić, miałam tyle energii na początku, pomysłów, ale oni nie potrzebują niczyjej "pomocy", a wolontariusze są potrzebni tylko po to by uczyli dzieci z zewnątrz, które płacą za naukę i to przynosi dochód. Zresztą i tych uczniów jest chyba coraz mniej. Dziś pojawił się Mauricio, trochę się poszwendał, umył parę dzieciaków, a tzw. niańki się zmyły. Jest taki bajzel, że w ogóle nie można znaleźć ręczników i czystych ubrań, których i tak jest za mało.

Sobota, 10.01.09

Budzę się zmarznięta i za wcześnie, ale tak zazwyczaj bywa, kiedy jest wolny dzień. Rzępolenie na instrumentach zaczyna się od rana. Niektóre z dzieci domagają się lekcji angielskiego, więc robię im dodatkową

lekcje dzisiaj. Nie ma to dla mnie znaczenia, bo i tak jestem na miejscu. A po południu zjawia się Mauricio z odtwarzaczem video i chce pokazać dzieciom jakąś kreskówkę. Widać, że kierownikowi to wcale nie pasuje. Tłumaczy mu, że oni po południu mają tu już swój plan: trening tańca, lekcje angielskiego, (których wcale nie ma popołudniami, a dziś jest przecież sobota - o mało nie ryknęłam śmiechem) i mycie się przed kolacją. A on chciał dzieciom pokazać tylko 20 minutowy film i zrobić im przyjemność. Zabronił mu też mycia dziewczynek, oczywiście tych małych. Chyba długo nad tym myślał.

Niedziela, 11.01.09

Koło 8ej czekam na Australijczyków na dole, a załoga jeszcze śpi – wczoraj długo siedzieli, no i popili jak zawsze. Przyjeżdżają na rowerach i przywożą 2 wory bluzek i swetrów (używanych, po 15 centów za sztukę). Dzieci najpierw rozgrzebują to wszystko jednak po chwili pakują z powrotem do worków i odkładają na bok. Maja prikaz, nie ruszania niczego bez zezwolenia. Worki leżą tak do wieczora, a potem gdzieś znikają i ubrania nie zostały rozdzielone. Żałuję, że nie mam maila do tych Australijczyków, poprosiłabym ich o ponowny przyjazd i dopilnowanie podziału. Toż to jest nienormalne, jak tak można. Te dzieci trzęsą się z zimna, nie mają się w co



przebrać, a wory z ubraniami stoją w komórce... A po lunchu znowu szef wprowadza jakieś porządki, każe im powymować wszystko z szafek (niektóre z nich niewiele tam mają), poukładać, niby szuka ich ręczników przez 5 minut, a potem zwołuje zebranie i wygłasza jakieś bzdurne kazania. Znalazłam też w międzyczasie prawdziwy sierociniec, który niedawno zaczął swoją działalność i Włoch się tam przenosi, a tu rezygnuje dzisiaj z pracy. Tam jest mniej dzieci, śpią w jakimś baraku, angielskiego uczą ich miejscowi studenci i też trochę tańczą, ale nie mają instrumentów i nie występują. Brakuje pieniędzy nawet na ryż, nie mówiąc już o rybach czy warzywach. Szkoda, że wcześniej nie wiedziałam o tym miejscu.

Poniedziałek, 12.01.09

Budzę się przemarznięta i liczę już dni do wyjazdu. Mam dosyć tego całego sierocinca i tych ludzi tu pracujących, za wyjątkiem dzieci. Zjawiają się w południe 2 młode dziewczyny z Australii, aby trochę "popracować" (3h nauki). Zamiast pieniędzy idą na targ i kupują dla ośrodka produkty spożywcze (olej, sol, czosnek, etc.). Kierownik nawet do nich nie podchodzi, pewnie jest wściekły.

Wtorek, 13.01.09

Wreszcie porobili nowe listy dzieci (podział według zajęć z tańca i gry na instrumentach, ale i tak jest bajzel), które mają uczęszczać na zajęcia z angielskiego do mnie i mam teraz aż 8h rozrzuconych przez cały dzień. Nawet nie mam czasu na popołudniową drzemkę. Ale te 3 dni do końca jakoś wytrzymam.

Środa, 14.01.09

Kierownik kazał komuś z obsługi policzyć te bluzki i swetry od Australijczyków i okazuje się, że są tylko 44 sztuki. Jestem pewna, że było ponad 80 bo tak mi mówili ci turyści. Pamiętam, że worki leżały na scenie aż do popołudnia. Nie mogę oczywiście nikogo podejrzewać, ale jestem pewna, że ktoś musiał gwizdnąć najlepsze rzeczy. Kiero-



wnik spał wtedy, gdy rzeczy zostały przywiezione i tylko ja i dzieci byliśmy świadkami tego zdarzenia. Przeprowadza niby jakieś dochodzenie, które kończy się fiaskiem. Stwierdził, że nie może rozdać tych rzeczy, dopiero jak dokupi, a ciekawe kiedy.

Czwartek, 15.01.09

Kierownik pyta mnie czy byłam świadkiem, gdy turyści przywieźli worki z ciuchami. Opowiadam mu jak to było, twierdząc, że było aż nadto tych bluzek. Ale on chyba mi nie uwierzył, a może sam coś pokombinował. Sama nie wiem, co o tym myśleć i dosyć mam serdecznie już tych wszystkich problemów. A po południu Sabina zarządza rozdawanie bluzek, czym się naraża kierownikowi, a ja jej w tym pomagam. Oświadczyłyśmy, że dokupimy tak, aby było dla wszystkich. W pewnym momencie bardzo się uniósł, bo my podważyłyśmy jego władzę. On ma plan i teraz już jest późno i trzeba się szykować do tańców. On jest od rozdzielania i decyduje kiedy to ma nastąpić, a my akurat rozdawałyśmy rzeczy po kolacji, kiedy wszystkie dzieci były razem, a on gdzieś zniknął, ale chyba po chwili ktoś go zawołał. Okazało się, że dzieci jest 54 teraz, a nie 68. Nie wiem, co stało się z resztą. Powiedział, że 3 dziewczynki, które kiedyś przywieźliśmy ze wsi wróciły do domu, bo



chciały chodzić do szkoły publicznej, a to jest możliwe dopiero w nowym roku szkolnym. Nie wiem, co stało się z resztą dzieci, nawet nie zauważyłam że jest ich teraz mniej. Sabina zażądała też pokazania butów zakupionych przez Ashley, bo chyba ma zamiar dokupić resztę.

Piątek, 16.01.09

W ogóle się nie wyspałam, byłam i jestem cały czas jakaś podenerwowana całą sytuacją tu i jeszcze czekającymi mnie rozmowami. Chciałabym mieć już wszystko za sobą. Dokupiłam te brakujące bluzki i porozdawałam dzieciom, ale i tak mi brakło, więc muszę rano skoczyć na targ jeszcze po 2 sztuki. A on się nabijał i krytykował, wmawiając mi, że im to niepotrzebne i zaraz wyrzuca do śmieci. Bzdura kompletna – widziałam jak dzieci się cieszyły, a niektóre mimo gorąca cały dzień chodziły w “nowych” bluzkach. Zapewne jest wściekły, bo wolałby pieniądze ode mnie.

I dziś sporo dzieci pojechało do szpitala, bo są przeziębione, ale on chyba sobie nie zdaje sprawy w czym rzecz. Są chore, bo marzną w nocy, sikają, nie mają grubych kocy i koło się zamyka. A sam chodzi w grubej skórzanej kurtce, czapce i ciągle powtarza, jakie on tu dzieło stworzył zakładając ten ośrodek. A Sabina porobiła takie małe prezenty dla dzieci (słodycze,

spinki do włosów, baloniki), niestety spóźniła się na kolację (wtedy też wszystkie dzieci są w kupie) i kiedy chciała to im rozdać to on ją zignorował. Był wściekły, bo nie zakupił butów (miała też pieniądze od znajomych). Stwierdziła, że resztę forsy da na szpital dziecięcy, a jemu figę z makiem. Ona już sobie poszła, a ja jeszcze mam tu wieczór i jutrzejszy poranek. I zostawiła mnie rozdawanie drobiazków dzieciom, bo rano już wylatuje do Bangkoku. Pewnie znowu się narażę.

Kiedy cała grupa wróciła z występów centrum, dowiedziałam się od szefa, że chyba zaniecha występów na night markecie, bo to nie przynosi dochodów. A w ogóle to on nie wie, co ma z tym wszystkim zrobić i jak sobie dalej poradzić. Już ja bym mu doradziła, ale wole się nie odzywać. A wieczorem przed kolacją szef zapytał mnie, co przygotowała Sabina dla dzieci. Kolacja była drętwa i nikt się do mnie nie odzywał. Ci ludzie nie mają żadnego obycia, a chamstwo wyłazi im z butów.



Sobota, 17.01.09

Muszę wstać wcześniej, by nie przegapić wyjścia dzieci do szkoły, bo w przeciwnym razie nie będę miała okazji rozdać wszystkim prezentów od Sabiny i pożegnać się z tą częścią, która rano idzie do szkoły. Wszystkie dzieci jedzą teraz (gdy zrobiło się chłodniej) gorące śniadania, tzw. rice porridge czyli rozgotowany i rozrzedzony ryż. Okazuje się, że jednak dzieci jest 63, a nie 58 jak to policzyła Sabina i brakło mi "paczek". Latam kilkakrotnie do straganu obok sierocińca i dokupuje jeszcze słodycze dla piątki dzieciaków. I muszę jeszcze dokupić dwie bluzki, bo dwójka dzieci też jeszcze nie dostała. W tych 63 jest trojka dzieci: 2 kierownika i 1 jego kochanki. Oni również ustawili się w szeregu parę minut później i robi się zamieszanie. Nie powinni dostawać ani słodyczy ani bluzek, ale już nie będę robiła wyjątków, to w końcu dzieci i nie rozumieją postępowania swojego ojca i nie są niczemu winne.

Już o 8.30 jestem gotowa, ale muszę czekać na Veashnę, który zrobi mi zdjęcie odbierania certyfikatu wolontariusza. Będzie to ujęte w prezentacji pokazywanej turystom na występach. Ze łzami w oczach żegnam się z dziećmi, te również płaczą i nawet kierownik dziękuje mi za pomoc i moją pracę i jest miły na koniec. Muszę jak najszybciej opuścić to miejsce. Nie lubię pożegnań, jestem rozstrojona i przeżywam je głęboko, dlatego jak najszybciej idę na drogę by poszukać transportu na dworzec autobusowy. Jest mi smutno, że opuściłam te dzieci, a z drugiej strony cieszę się z zakończonego pobytu w sierocińcu. Zakończył się kolejny etap w moim życiu i znowu jestem na szlaku.

Malgosia



fotoreportaż

Dzieci ulicy - Neapol

bez słów...









*autor zdjęć:
Sergio Siano*

SZKOŁA ŻYCIA

Była 730, czyli jak zwykle – czas na poranną gimnastykę. Brat jeszcze spał. Inni koledzy też nie wykazywali zbytnej chęci do zwleczenia się z łóżek. Niestety jak co dzień o tej porze do naszego pokoju z wielkim hukiem wpadł Dołęga. Zatykając nos z powodu panującego zaduchu podszedł do okna i mocował się z nim przez chwilę. W końcu dał się słyszeć zgrzyt i do pokoju wleciało świeże, ożywcze powietrze, a wraz z nim ptasi świergot, rozbudzając wszystkich na dobre.

- No, chłopaki, wstawać, wstawać – zakrzeczał opiekun z udawanym entuzjazmem. Jego głos, wysoce dla ucha nieprzyjemny, wywoływał w nas dreszcz, a zdanie, to samo, które co dzień wypowiadał, przypominało nam dźwięk, uparcie powtarzany przez domorosłego grajka, za pomocą jakiegoś rozstrojonego fortepianu. Dźwięk ten, był zresztą tak samo nieciekawym, jak jego właściciel. Dziwnie przyszyty bródka i długo nieczesane włosy czyniły go podobnym raczej do pierwszego lepszego drapichrusta z ulicy, a nie spadkobiercy tradycji żeglarskich, za jakiego się uważał. Zepsute od palenia zęby i pożółkłe od papierosowego dymu dłonie, czyniły go wręcz obrzydliwym. Jedynymi chyba jego atutami, były punktualność oraz niezwykle zmysł organizacyjny, co sprawiało, że był dość cenny w oczach dyrektora Pulickiego (swoją drogą, też niezłe z niego ziółko).

Przez wrodzoną przekorę postanowiłem jeszcze nie wstawać. Przynajmniej przez chwilę. Zajrzałem za to w oczy mego brata. Mimo, że był przecież młody, trudno było w nich teraz dojrzeć choćby cień entuzjazmu. Wyrażały za to jakby umęczone i niedające się opisać wołanie „znowu nudy na pudy”. Naraz jakby się ożywił. Jego oczy zabłyśły dziwnym blaskiem, a usta cichutko i nieśmiało wyszeptały:

„Jeszcze tylko miesiąc, ... jeszcze miesiąc”

Dobrze wiedziałem, o co mu chodzi, a jednak, pomimo że wiadomość ta również wywoływała u mnie przyjemny dreszczyk emocji, nie mogłem do końca podzielać jego radości. Pozostawała przecież kwestia tego, co będziemy robić potem..., a może wylądujemy na ulicy...

- Nie, nie – powiedziałem głośno, zły, że znowu łapię się na wpędzaniu w „dołek” samego siebie.

- Co „nie” – spytał Adam – przecież data jest już ustalona i nie ma odwrotu, a może się boisz?

- Dobra, dobra – odburknąłem – nie bądź taki chojrak i choć do łazienki, bo znowu się spóźnimy.

Urwałem szybko ten temat. Nie miałem ochoty droczyć się z Adamem, bo jak zawsze „on ma rację”. No cóż, wybaczyłem mu to i tym razem, szczególnie, że i ja nie zawsze jestem pod tym względem święty... Korytarz ciągnął się jak zwykle w nieskończoność. Wpatrzony w ciemno brązową, wytartą do reszty wykładzinę, próbowałem wyobrazić sobie coś, co mogłoby się zdarzyć, urozmaicając dzisiejszy dzień. Nic jednak nie przychodziło mi do głowy. Snuły się po niej tylko jakieś ponure myśli. Po raz pierwszy w życiu poczułem się wtedy jak zwierzę - mocne, silne – a mimo to bezradne wobec rzeźnika, który ze sobie znanych przyczyn przedłuża w nieskończoność czas wykonania dawno zapadniętego wyroku...

Łazienka była dość obszerna. Na lewo od wejścia wisiał szereg umywalek, wspartych na zardzewiałych rurach. Na prawo zaś znajdowały się „prysznice”, czyli kilka popękanych rur, z których bezustannie sączyła się zimna woda. Ciepła była od święta. Chciałem umyć zęby, więc wcisnąłem się między innych, aby mieć dostęp do umywalki, odpychając przy tym małego Maciusia.

- Ej! To moje miejsce – wysepleniał zirytowany malec – myślisz, że jak jesteś duży, to ci wszystko wolno...?

Nie miałem ochoty się z nim spierać i – aby sprawę zakończyć – poczęstowałem go prztyczkiem w nos. Nie spodziewał się chyba takiej reakcji z mojej strony. Jego oczy zrobiły się nagle olbrzymie, a w kącikach pojawiły się dwie duże łzy. Na dodatek rozdziawił szeroko swoje małe ustka i wyglądał z tym tak niewinnie, że wzbudził we mnie wyrzuty sumienia. Było już jednak za późno. Maciuś obrócił się na pięcie i nago – jak go Pan Bóg stworzył – poleciał na skargę do kierownika. Ów był widocznie nie daleko, bo już za chwilę, we drzwiach, pojawił się idealnie okrągły brzuch zasłonięty kraciastą koszulą, a zaraz potem jego właściciel – kierownik Malicki. Rzuciwszy w moją stronę dwie „błyskawice”, pogroził mi palcem i przywołał do siebie. Na korytarzu czekał również poszkodowany maluch:

- A maś zia śśśwoje! – wycedził. Potem uniósł dumnie głowę i pewnym siebie krokiem wszedł do łazienki, chlapiąc przy tym jak tylko się dało najmocniej.

- No co! Borkiewicz! Znowu narozrabiałeś.

- Ależ proszę pana, ja tylko chciałem.....

- Już dobrze. Nie tłumacz się – jego wąsy poruszyły się niespokojnie, a na twarzy pojawił się wyraz zatroskania – i żeby mi to było ostatni raz. Jestem już stary, nie mam siły się z wami przekomarzać. Zresztą prawie dorosły z ciebie facet i chyba mam prawo na tobie polegać?

- Tak jest – odparłem z radością, zadowolony z takiego obrotu sprawy.

- Wracaj więc do łazienki, bo się spóźnisz na zajęcia – odszedł parę kroków, poczym stojąc tyłem dodał – a wiesz, jak tego nie lubię.

Po chwili znalazł się na schodach i mamrocząc coś o dzisiejszej młodzieży, zniknął mi z oczu. Stałem tam jeszcze z pięć minut, nie bardzo wiedząc co ze sobą zrobić. Ogarnęło mnie bardzo dziwne uczucie. Po raz pierwszy bowiem dojrzałem w kierowniku Malickim człowieka. Wiem, że to dziwnie brzmi, ale tak właśnie było. Jego praca nabrała dla mnie wartości, a stroskana

twarz uzmysłowiła mi jak bardzo musiało mu na nas zależeć. Przed oczami ujrzałem wszystkie te chwile, w których byłem wobec niego niesprawiedliwy. Ileż on na mnie stracił nerwów. Nie raz widziałem jak ze stoicką cierpliwością kleił zbite żyrandole, albo wstawiał nowe drzwi, bo poprzednie pękły od trzaskania. Zrobiło mi się strasznie głupio. Nie mogłem mu już tego wynagrodzić. Postanowiłem jednak nie sprawiać więcej kłopotów.

Mijały dni. Trzeci września maja zbliżał się nieubłaganie. Nie mogłem spać po nocach, wciąż rozmyślając o najbliższej przyszłości. Przechodził mnie dreszcz na samą myśl o tym, że już niedługo sierociniec „Świętej Rodziny” – którego kiedyś tak nienawidziłem – zamknie się przede mną na zawsze. Pozostanie jedynie wspomnienie o ciepłym łóżku i regularnych posiłkach. Paradoksalnie, odrapane i zaniedbane ściany, budzące u normalnego człowieka jedynie odrazę, stały się dla mnie czymś na kształt świątyni. Z największą uwagą starałem się zapamiętać każdy kąt i dziurę. Z namaszczeniem wdychałem zapach wilgotnej piwnicy. Zupełnie tak, jak znużony długo podróżą pielgrzym napawa się wonią murów wiekowego kościoła – celu do którego przybył. Bardzo się wtedy bałem. Nie można tego było natomiast powiedzieć o moim bracie. Adam zachowywał się wprost obsesyjnie. Na piętnaście dni przed oznaczoną datą, zaczął odliczać godziny dzielące go od – jak mawiał – „upragnionej wolności”.

Nadszedł w końcu pierwszy wrzesień – dla normalnych dzieci czas raczej przygnębiający, bo kończą się wakacje, ale dla nas była to dobra nowina. Wakacje były czasem nudów, bo co można robić w takim sierocińcu. Około południa dowiedzieliśmy się, że zajęć z matematyki nie będzie, bo profesor się rozchorował. W tej sytuacji Dołęga zezwolił nam pooglądać telewizję. Leciąły jakieś bajki więc odwróciłem się w

stronę okna by w spokoju „zaliczyć kolejnego dołka”. Z tego stanu wyrwał mnie nagle niepokojący głos spikerki telewizyjnej, która zupełnie nie owijając w bawełnę podała wiadomość, że na naszej zachodniej granicy zostaliśmy zaatakowani przez hitlerowskie Niemcy, że mamy wojnę, że trzeba się ewakuować z tamtych terenów... Próbowała jeszcze pocieszyć mówiąc, że armia polska jest silna, a sojusznicze kraje na pewno nas wspomogą... nie bardzo jej to wyszło...

Ta wiadomość była dla nas jak grom z jasnego nieba. Gorzej nawet. Żaden chyba grom nie był by w stanie wywołać takiego przerażenia jakie ujrzałem wtedy w oczach naszych opiekunów. Cios był tak silny, że nawet Malicki – choć niejedno już przeżył – rozdziawił szeroko usta i siadając powoli na krzesło gapił się tępo w ekran telewizora tak, jakby siedziała w nim jego własna śmierć, choć akurat wtedy była to jedynie myszka Miki. Głęboka cisza i ogólne odrętwienie stworzyły w pewnym momencie atmosferę nie do zniesienia. Przerwał ją dopiero Mateusz:

- Hej! To chyba znaczy, że nie będzie szkoły... – po sali rozszedł się cichy szmer, radosna nowina szybko stała się przedmiotem dyskusji małych ludzi. Dziesiątki małych ząbków, zazwyczaj krzywych i dziurawych, wyglądało wtedy z dziecięcych, roześmianych od ucha do ucha ust, a melodia potoku pełnych entuzjazmu słów brzmiała jak istna „Oda do radości”.

Sielankowy nastrój zakłócił dopiero krzyk pani Marty:

- Dosyć wstrętne bachory – nastąpiło milczenie, nieprzerywane nawet odgłosem oddechów, wszyscy po prostu struchleli. Twarz pani Marty zrobiła się nagle czerwona, oczy nabiegły krwią i zaszkliły się. Po chwili dodała załamującym się głosem, który byłby w stanie wzbudzić wyrzuty sumienia nawet w kamieniu: czy wy w ogóle wiecie, co to jest wojna.... Usłyszeliśmy stukot jej chodaków, oddalający się w miarę, jak biegnąc po trzy

schodki, uciekała od nas – bachorów – by zaszyć się w półmroku swojego małego pokoiku. Tym razem nawet Mateusz powstrzymał się od komentarza.

Siedzieliśmy tak z dziesięć minut, kompletnie nie wiedząc co ze sobą zrobić. Aby uciec przed dręczącą bezczynnością, wodziłem niespokojnie oczami po wszystkich ścianach, stołach, oknach. W końcu zacząłem z uwagą przypatrywać się twarzom ludzi. Były inne niż zwykle. Dziecięcy entuzjazm wyparty został przez powagę, jaką zwykli okazywać jedynie ludzie bardzo doświadczeni życiem. I choć nie można powiedzieć, by to życie obeszło się z tymi sierotami dość łaskawie, to jednak widok ich poważnych min mógłby w normalnych warunkach rozbawić największego smutasa. Ale ja nie chciałem się śmiać. Nie mogłem. Wiedziałem bowiem co może stać się tym dzieciakom, gdyby dosięgła ich wojna. Przed oczyma przewijały mi się obrazy z filmu o Afryce, który widziałem na lekcji geografii. Nie napawały zbytnim entuzjazmem. Skrajna nędza, głód i choroby były jedynymi towarzyszami kilkunastoletnich wojowników, którzy nosząc na plecach broń większą niż one same, walczyły o sprawę dorosłych. Nie rozumiały dlaczego muszą zabijać tych, z którymi bawiły się kiedyś na wspólnym podwórku. Zabijały innych, by samemu móc przeżyć. A nie daj Boże, gdy zostały ranne. Wtedy ci sami dorośli, dla których niezrozumiałej sprawy walczyły, dobijali je, aby sprzedać ich narządy do bogatych krajów i zdobyć kolejne pieniądze na bezsensowną walkę.

Bezwiednie rozglądałem się po sali. Mój wzrok spotkał się w końcu ze wzrokiem Malickiego. Szczerze mówiąc, spodziewałem się zobaczyć w jego oczach choć nikłą pociechę, ciche zapewnienie, że wszystko będzie dobrze. Zamiast tego ujrzałem jedynie swoisty manifest bezradności i załamania.

To były okropne chwile. Ale to był przecież

dopiero początek, „najlepsze” miało dopiero nadejść. Pamiętam, że w pewnej chwili do sali wpadł Anirewicz – profesor od chemii – wielce poirytowany, że spóźniliśmy się na jego zajęcia. Spojrzałem na zegarek. Faktycznie – lekcja trwała już szesnastą minutę.

- Co wy tu u licha jeszcze robicie – krzyknął – panie Malicki, czemu... - nie dokończył. Łzy, które spływały po twarzy Malickiego mówiły zbyt wiele. Długo milczał nasz profesor, nie wiedząc, co właściwie należy zrobić. W końcu, zniecierpliwiony do granic możliwości spojrzał się na mnie i cedząc każde słowo przez zaciśnięte zęby wybełkotał:

- Czy ktoś mi wreszcie wytłumaczy, o co chodzi. Czemu wszyscy siedzicie tu jak te kołki nieociosane...

- Wojna, panie Anirewicz. Mamy wojnę – odpowiedziałem najspokojniej, jak tylko potrafiłem.

Profesor zbladł. Jego usta otworzyły się bezwiednie, a małe oczka zaszyły mgłą. Drżące dłonie na próżno starały się chwycić framugę drzwi, przy których stał od dłuższego czasu. Omdlałe kolana odmówiły całkowicie posłuszeństwa i profesor osunął się powoli na podłogę, utkwivszy wcześniej wzrok we wciąż „niemym” Malickim. Po nie długim czasie usłyszeliśmy jego szloch, który powoli przeradzał się w głuche jęki, wyrażające jednocześnie strach, nienawiść i niedowierzanie. Sporo czasu zajęło mu dopełnienie do drzwi, które zatrzasnęły się za nim z łoskotem.

Trzeci września obudził nas jasnym słońcem i radosnym świergotem wróbli. Nic nie wskazywało na to, że gdzieś tam, w oddali toczy się walka na śmierć i życie, a odgłos bomb stał się nieodłącznym towarzyszem codzienności. Jedyłą w nim odmianą było to, że wpadając jak co dzień do naszego pokoju, Dołęga na tą jedną krótką chwilę zupełnie wyzbył się swej naturalnej skrzekliwości głosu i tonem najśłodszy na jaki go było tylko stać wykrzyknął:

- Sto lat solenizantowi!

Poczym dostojnym krokiem podszedł do mojego łóżka i wręczył kawałek placka drożdżowego z wetkniętą weń zapaloną świeczką. Po pokoju rozeszła się przyjemna woń świeżo upieczonego ciasta. Wszyscy jego mieszkańcy zbiegli się natychmiast i stanawszy naokoło mojego łóżka przyglądali się temu nieszczęsnemu kawałkowi ciasta z iście sępiim wzrokiem.

- No – zaczął Dołęga – no pomyśl sobie jakieś życzenie i zgaś świeczkę... ciasto też jest twoje – dodał po namyśle.

Po pokoju rozszedł się szmer niezadowolonia. Głupio mi było jeść ten kawałek w obecności kolegów, którzy już od miesięcy nie pamiętali co znaczy zapach świeżego ciasta. Na szczęście nasz opiekun zauważył moje zakłopotanie i stwierdził z lekką nutką ironii:

- Osz wy głodomory – tu lekko uśmiechnął się i krzyknął – dziś ciasto będzie dla wszystkich...

To niesamowite ile pisku i wrzasku może narobić grupa małych dzieciaków. Wiem jedno – to co się wtedy działo, pozostanie w mej pamięci na zawsze. Trzęsące się ściany, odpadający tynk i odgłosy gorsze niż w czasie przejścia stada słoni to tylko niektóre efekty szturm jaki przypuszczono na kuchnię. W pokoju zostałem tylko ja i Dołęga. Świeczka zgasła niestety sama z powodu zawirowań powietrza jakie wywołała grupa małych żarłoków, zanim zdążyłem wypowiedzieć życzenie. No cóż, taki widać mój los!

Śniadanie, którego menu sporządził sam dyrektor było iście królewskie. Otręby ze świeżym mlekiem smakowały wyśmienicie, ale prawdziwym szalem okazał się plasterek szynki który każdy mógł znaleźć na swoim talerzu. Dobrze uwędzona szynka, pachnąca ziołami pieściła nasze podniebienia bardzo długo. Największe żarłoki połknęły oczywiście swoją porcję na raz, ale większość z nas wydzielała sobie po kawałeczku i z każdym kęsem czuliśmy coraz większą wdzięczność naszych żołądków, które nigdy jeszcze nie doznały

tak silnego, smakowego olśnienia... a kakao... Ech, szkoda słów...

Sielanka skończyła się jednak dosyć szybko. Niespokojny wzrok Malickiego ponaglał mnie. Dobrze wiedziałem o co mu chodzi, ale udałem nieświadomego. Podszedł więc w końcu do mnie i rzekł:

– Wojciechu... zamilkł na chwilę – nie chcę cię pospieszać, ale... sam zresztą wiesz...

– Wiem, już sobie idziemy...

Nie miałem zbyt wiele do zabrania, kilka łachów – ot co... Adaś – wręcz przeciwnie – chłopacy zrobili zrzutkę – pinezki, kawałki sznurków, druciki, szklane kuleczki, spinki, gumki... ech długo by wymieniać te wszystkie rupiecie. Miałem mieszane odczucia – nie mieliśmy gdzie tych śmieci schować – Adaś napchał sobie tym wszystkim kieszenie i wyglądał trochę śmiesznie. Ostatecznie jednak stwierdziłem, że wiek 12 lat ma swoje prawa. Ja też taki kiedyś byłem.

Droga po schodach w dół, do wyjścia, wydawała mi się całą podróżą. Każdy schodek był przekraczaniem jakiejś granicy, zostawianiem za sobą czegoś, co już nigdy nie wróci. Wreszcie drzwi, wielkie, odrapane, z resztkami brązowej farby. I ulica – jakby nowa rzeczywistość. Adam już czekał na zewnątrz, uchachany od ucha do ucha. Jak tylko pożegnałem się ze wszystkimi, krzyknął a całe gardło: „Goń mnie!!!” i zniknął za rogiem. Przeraziłem się, jeszcze mi się zgubi i będzie nie ciekawie. Rzuciłem ostatnie spojrzenie Malickiemu i pomknąłem za bratem. Byłem szybszy od niego, jednak teraz nie mogłem go dogonić. Gnał przed siebie jak szalony, wiedziony jakąś dziwną siłą. Byle dalej, byle szybciej. Przebiegł kilka ulic i przecznic, nie zwracał uwagi na potraconych ludzi ani na trąbiące samochody, które zatrzymywały się z piskiem opon, gdy przebiegał przez ulicę. Kilka razy mroziło mi krew – tak niewiele by starczyło, a leżałby pod kołami. Byłem coraz bardziej wściekły: „Co ten głupek robi? Niezłą sobie zabawę znalazł. Zaraz go

uduszę. Ledwo z sierocińca wyszedł a już mi taką siarę robi. Niedoczekanie!!!” – powtarzałem to sobie wciąż w duchu. Wołałem go po imieniu, wrzeszcząc na całe gardło. Po drodze starałem się przeproszać potraconych ludzi i dawać znaki kierowcom, że on ze mną, że zaraz go zgarnę. W końcu zabrakło mu tchu, dopadłem go, złapałem mocno za ramię i obróciłem w swoją stronę z zamiarem zrobienia karczemnej awantury. Już chciałem coś powiedzieć, ale słowa uwięzły mi w gardle na widok jego twarzy. Spodziewałem się zobaczyć przekorną minę podrostka, a zobaczyłem wielkie zapłakane oczy i rozdziawione szeroko usta.

- Co jest, Adaś, zwariowałeś? Co się stało?

- Nie masz pojęcia jak bardzo nienawidzę tamtego miejsca – wyszeptał przez łzy – on mnie zmuszał do brzydkich rzeczy, on kazał mi to robić, tak bardzo się bałem. Mówił, że jak coś powiem to ci zrobi krzywdę tak, że się nie zorientujesz i nikt się nie dowie, straszyl, że cię stracę. A ja się na to godziłem. Jestem nic nie wart, jestem głupi, zły, niedobry...

- Adaś – potrząsałem nim trzymając za ramiona – kto i co ci robił, powiedz mi proszę, o co ci chodzi, dlaczego miałbyś być zły, to nieprawda! – chciałem dalej wyrzucać z siebie potok pytań i zaprzeczeń, ale nie mogłem, krtań odmówiła posłuszeństwa.

- Nie tutaj, tutaj nie mogę... - wyszeptał i wtulił się mocno we mnie...

- Już dobrze – wyszeptałem mu do ucha i rozejrzałem się dookoła. Zebrał się mały tłumek i ludzie dziwnie się na nas patrzyli. Podniosłem się powoli i z Adasiem wczepionym w ramiona ruszyłem przed siebie. Szliśmy tak dłuższą chwilę. Chciałem przemyśleć całą sprawę zanim znajdę dogodne miejsce na to by wypytać go dokładniej, o co chodzi. Targały mną różne myśli, miałem złe przeczucia. Zaczęła mi wracać moja własna przeszłość, mniej więcej z okresu dorastania. Półmrok i cisza ogromnego pokoju, przerywana tylko głuchymi oddechami ust, buszujących po moim ciele. Od czasu do czasu miarowe

skrzywienie starego łóżka. Poddawałem się temu bez oporu. Wiedziałem, że nie mogę liczyć na nikogo. Musiałem to „polubić” i się przyzwyczaić. Nie zwracać uwagi na ból jaki nieraz mi towarzyszył. Pamiętam dokładnie ten pokój. Wielka stara szafa i komoda z lustrem obok. Zdarzało się, że moja głowa była na tyle wysoko, bym mógł zobaczyć się w tym lustrze. Ogarniała mnie wtedy złość i nienawiść do samego siebie, za tą bezsilność. Tępo patrzyłem w powykrzywiane własne odbicie, marząc by to już się skończyło. Z drugiej strony nie opierałem się zbyt mocno, gdy mnie do tego zmuszano. Uważałem to za rodzaj jakiejś kary dla siebie, za głupotę i tą bezwartościowość jaką wtedy odczuwałem. Przykre wspomnienia mrocznej tajemnicy. Bałem się, że i jego mogło to spotkać, ale za chwilę zaprzeczałem sam sobie. Nie, to niemożliwe – jemu to nie mogło się przytrafić!

Domek

biografie

Janusz Korczak

opracował LT

Urodził się w rodzinie Cecylii z Gębickich i zamożnego adwokata Józefa Goldszmita. Lata szkolne spędził w ośmioklasowym gimnazjum na warszawskiej Pradze (obecnie VIII Liceum Ogólnokształcące im. Władysława IV w Warszawie). W wieku 15 lat, jak napisał w swoim pamiętniku wpadł w szaleństwo, furię czytania. Dorastanie i dojrzewanie Janusza Korczaka przebiegało w trudnych warunkach materialnych. Po śmierci ojca w 1896 jako uczeń V klasy (miał wtedy 17-18 lat) udzielał korepetycji, by pomóc w utrzymaniu rodziny. W 1898 rozpoczął studia na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Cesarskiego w Warszawie. Latem 1899 roku Korczak pojechał do Szwajcarii, aby bliżej poznać działalność i twórczość pedagogiczną Pestalozziego. Zwiedzając kraj szczególnie interesował się szkołami, szpitalami dla dzieci, a także bezpłatnymi czytelniami pism

dla dzieci i młodzieży. W 1905 otrzymał dyplom lekarza.

Podjął pracę w charakterze lekarza w Szpitalu dla Dzieci im. Bersonów i Baumanów przy ul. Śliskiej 51 - Siennej 60 (dom przechodni). Korczak, jako lekarz miejscowy korzystał ze służbowego mieszkania na terenie szpitala; otrzymywał 200 rubli rocznie w czterech ratach; na każde wezwanie udawał się do chorego. Współpracował z Samuelem Goldflamem, z którym podjął szeroką działalność społeczną. W 1907 pojechał na cały rok do Berlina, aby uzupełnić swe wiadomości medyczne. Słuchał wykładów (za które sam płacił) i odbywał praktykę w klinikach dziecięcych; zwiedzał też różne zakłady wychowawcze. W 1911 roku podjął decyzję, że nie założy rodziny.

Był w szesnastoosobowej grupie założycielskiej Haszomer Haca'ir, powstałej w 1916 w Wiedniu żydowskiej organizacji skautowej.

Razem ze Stefanią Wilczyńską założył i prowadził Dom Sierot dla dzieci żydowskich w Warszawie (1912-1942) przy ul. Krochmalnej 92 (przeniesionego do getta na ul. Chłodną 33, a następnie na ul. Sienną 16 - Śliską 9), a później także Naszego Domu (na Bielanych przy ul. Jana Kasprowicza nr 203) - sierocińca dla dzieci polskich (1919-1936), gdzie stosował nowatorskie metody pedagogiczne.

Posiadał znakomite wycucie psychiki dziecięcej, a jego postawa pełna szacunku i zaufania do dziecka stała się podstawą systemu pedagogicznego łączącego zasadę kierowania dziećmi z zasadą ich samodzielności. Samorząd, gazetka dziecięca, a także osobowość wychowawcy były formami pobudzającymi aktywność społeczną dzieci w tym systemie. Żądał równouprawnienia dziecka, poważnego traktowania jego spraw i przeżyć, wychowania w umiłowaniu dobra, piękna i wolności.

Swoje zasady wychowawcze Janusz Korczak wykladał w pismach pedagogicznych, z których najważniejszy jest cykl Jak kochać dziecko oraz w Instytucie Pedagogiki Specjalnej i w Wolnej Wszechnicy Polskiej.

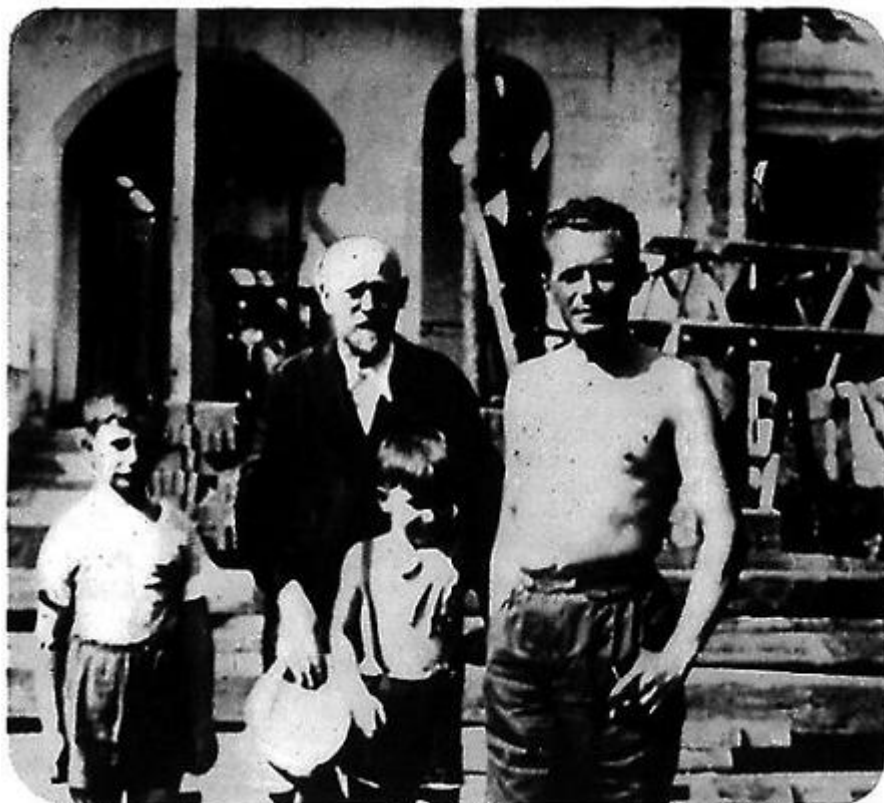
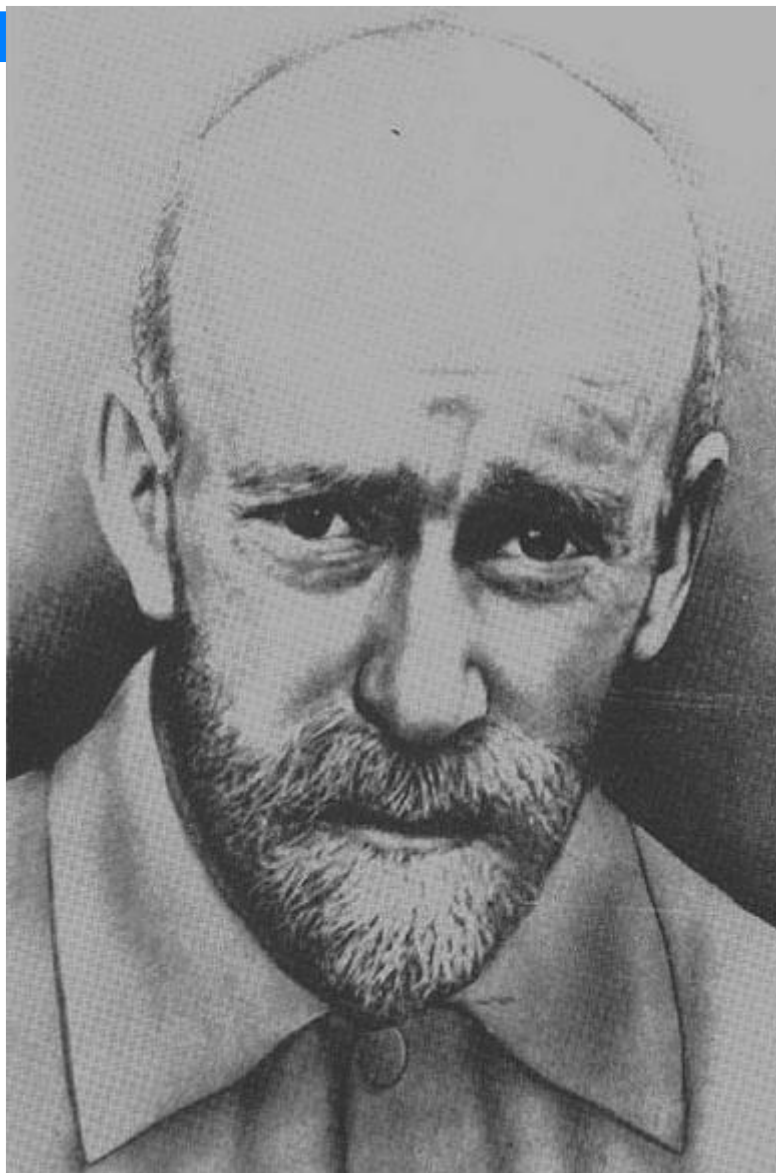
W latach 1926-1930 redagował eksperymentalne pismo dziecięce Mały Przegląd. Prowadził szeroką działalność popularyzatorską w obronie praw dziecka za pośrednictwem radia. Sekretarzem, a potem współpracownikiem Korczaka był Igor Newerly.

Zginął wraz ze swymi wychowankami wywieziony z getta w 1942, dobrowolnie towarzysząc im w drodze na śmierć w komorze gazowej w obozie zagłady w Treblince, mimo że miał możliwość ucieczki z getta.

Do Wolnomularstwa wstąpił najpóźniej w 1925 roku. Inicjowany był w Łoży „Gwiazda Morza” Międzynarodowej Federacji „Le Droit Humain” powołanej, aby „pogodzić wszystkich ludzi, których dzieli bariery religii, i poszukiwać prawdy przy zachowaniu szacunku dla drugiego człowieka”.

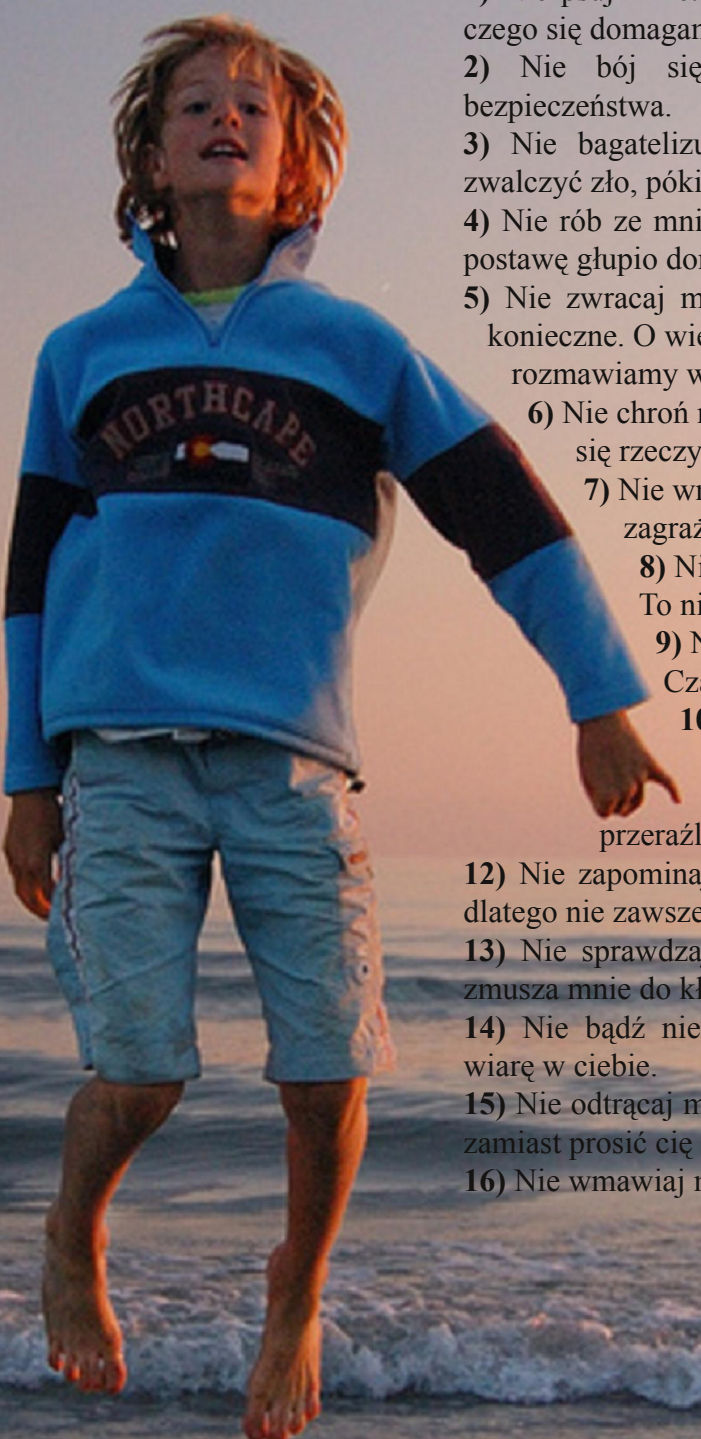
Mawiał:

Dzieci nie są głupsze od dorosłych, tylko mają mniej doświadczenia.



Prośba dziecka

- Janusz Korczak

- 
- 1) Nie psuj mnie. Dobrze wiem, że nie powinienem mieć tego wszystkiego, czego się domagam. To tylko próba sił z mojej strony.
 - 2) Nie bój się stanowczości. Właśnie tego potrzebuję - poczucia bezpieczeństwa.
 - 3) Nie bagatelizuj moich złych nawyków. Tylko ty możesz pomóc mi zwalczyć zło, póki jest to jeszcze w ogóle możliwe.
 - 4) Nie rób ze mnie większego dziecka, niż jestem. To sprawia, że przyjmuje postawę głupio dorosłą.
 - 5) Nie zwracaj mi uwagi przy innych ludziach, jeśli nie jest to absolutnie konieczne. O wiele bardziej przejmuję się tym, co mówisz, jeśli rozmawiamy w cztery oczy.
 - 6) Nie chroń mnie przed konsekwencjami. Czasami dobrze jest nauczyć się rzeczy bolesnych i nieprzyjemnych.
 - 7) Nie wmawiaj mi, że błędy, które popełniam, są grzechem. To zagraża mojemu poczuciu wartości.
 - 8) Nie przejmuj się za bardzo, gdy mówię, że cię nienawidzę. To nie ty jesteś moim wrogiem, lecz twoja miażdżąca przewaga!
 - 9) Nie zwracaj zbytnej uwagi na moje drobne dolegliwości. Czasami wykorzystuję je, by przyciągnąć twoją uwagę.
 - 10) Nie zrzędz. W przeciwnym razie muszę się przed tobą bronić i robię się głuchy.
 - 11) Nie dawaj mi obietnic bez pokrycia. Czuję się przeraźliwie tamszony, kiedy nic z tego wszystkiego nie wychodzi.
 - 12) Nie zapominaj, że jeszcze trudno mi jest precyzyjnie wyrazić myśli. To dlatego nie zawsze się rozumiemy.
 - 13) Nie sprawdzaj z uporem maniaka mojej uczciwości. Zbyt łatwo strach zmusza mnie do kłamstwa.
 - 14) Nie bądź niekonsekwentny. To mnie oglupia i wtedy tracę całą moją wiarę w siebie.
 - 15) Nie odtrącaj mnie, gdy dręcę cię pytaniami. Może się wkrótce okazać, że zamiast prosić cię o wyjaśnienia, poszukam ich gdzie indziej.
 - 16) Nie wmawiaj mi, że moje lęki są głupie. One po prostu są.
 - 17) Nie rób z siebie nieskazitelnego ideału. Prawda na twój temat byłaby w przyszłości nie do zniesienia. Nie wyobrażaj sobie, iż przepraszając mnie stracisz autorytet. Za uczciwą grę umiem podziękować miłością, o jakiej nawet ci się nie śniło.
 - 18) Nie zapominaj, że uwielbiam wszelkiego rodzaju eksperymenty. To po prostu mój sposób na życie, więc przymknij na to oczy.
 - 19) Nie bądź ślepy i przyznaj, że ja też rosnę. Wiem, jak trudno dotrzymać mi kroku w tym galopie, ale zrób, co możesz, żeby nam się to udało.
 - 20) Nie bój się miłości. Nigdy.

Pamiętnik

(maj-lipiec 1942)

Leżę w łóżku. Łóżko na środku pokoju. Sublokatorzy moi: Moniuś młodszy (Moniusiów mamy czterech), potem Albert, Jerzyk. Z drugiej strony pod ścianą Felunia, Gienia i Haneczka.

Drzwi nieco otwarte do sypialni chłopców. Jest ich sztuk 60. Nieco na wschód śpi najcichszym snem 60 dziewcząt. Reszta na górnym piętrze

Jak te godziny szybko biegają. Dopiero była dwunasta, już trzecia. Miałem gościa w łóżku.

Mendelkowi przyśniło się coś. Przyniosłem go do swego łóżka. Poglaskałem po twarzy i zasnął. Piszczący. Niewygodnie mu.

- Śpisz?

- Myślałem, że jestem w sypialni.

Patrzy zdziwiony swymi czarnymi małpimi paciorkami.

- Bo byłeś w sypialni. Chcesz iść do swego łóżka?

- Ja panu przeszkadzam?

- Położysz się po drugiej stronie. Przyniosę ci poduszkę.

- Dobrze.

Leży na chodniku zmarły chłopak. Obok trzech chłopcy poprawiają sznurkiem lejce. W pewnym momencie spojrzeli na leżącego – odsunęli się na kilka kroków, nie przerwali zabawy.

Nie odmawiaj, jeśli dziecko prosi o powtórzenie bajki jeszcze i jeszcze, i jeszcze raz tej samej.

Dla pewnych dzieci, liczniejszych może niż sądzimy, przedstawienie powinno składać się z jednego tylko, wielokrotnie powtarzanego raz wraz numeru.

Jeden słuchacz – to częstokroć liczne i wdzięczne audytorium. Nie stracisz czasu.

Stare nianie i murarze – częstokroć lepsi pedagodzy, niż dyplomowana psychotechniczna.

Przecież dorośli też wołają: bis. Bis.

Ta sama bez końca powtarzana bajka – to jak sonata, jak sonet ukochany, jak rzeźba, bez której widoku dzień staje się bezbarwny.

Powiedział mi chłopiec, opuszczając Dom Sierot:

- Gdyby nie ten dom, nie wiedziałbym, że są na świecie ludzie uczciwi, którzy nie kradną. Nie wiedziałbym, że można mówić prawdę. Nie wiedziałbym, że są na świecie sprawiedliwe prawa.



Wakacje

Siedział przy oknie wpatrzony w migający za nim krajobraz. Drzewa mknęły jak szalone, a pociąg z lekkim szumem jechał coraz szybciej. Kuba odetchnął głęboko, i ziewnął ze znużenia. Spojrzał na ojca pogrążonego w lekturze jakiejś dziwnej książki. -Nie, z nim nie ma teraz rozmowy, on jest w swoim własnym świecie...- Pomyślał i pokręcił głową z rezygnacją.

Na niedługo przed Radomiem do przedziału wszedł konduktor, i z przyklejonym do twarzy sztucznym uśmiechem poprosił o bilety do kontroli. Ojciec niedbałym ruchem wyciągnął z kieszeni dwa świstki i podał. Konduktor wyszedł tak szybko jak wszedł, a Kuba znów pozostał sam na sam z nieobecny duchem ojcem, i własnymi myślami.

Lubił góry, za każdym razem jak tam jechał, to czuł fascynację, radość. Uwielbiał maszerować całe kilometry wśród lasów i skał, czuł wtedy przygodę. Ciekaw był tylko, gdzie zatrzymają się tym razem. Jak co roku w wakacje jechał z ojcem "na ślepo", i miejsca znajdowali gdzieś w tatrzańskich wioskach, w których pełno tabliczek "Pokoje do wynajęcia". Ze zniecierpliwienia przebierał nogami; droga jeszcze daleka, o czymś do czytania zapomniał. A ojca podczas lektury tak jakby nie było... Pozostało mu tylko wpatrywanie się w krajobrazy rozpościerające się za sobą.

Wreszcie Radom, pociąg zatrzymał się z lekkim piskiem. Kilku ludzi z ciężko wyglądającymi tobołami wgramoliło się do pociągu, który jakaś pani z megafonu określiła jako "Żeromski z Warszawy Wschodniej do Zakopanego". Drzwi od przedziału ponownie się uchylły i ukazała się w nich obleśna gęba należąca do jakiegoś budzącego grozę typa. Rozejrzał się łypiąc na

boki ślepiami i wyszedł. Kuba aż odetchnął z ulgą. Po chwili drzwi uchylły się ponownie, i ukazała się w nich jakaś elegancka pani w średnim wieku o miłej powierzchowności. Rozejrzała się uważnie, taksując spojrzeniem ojca i Kubę, którego obdarzyła "ciotczynym" uśmiechem.

-Dzień dobry, Panowie daleko jadą?- Spytała ciepłym głosem.

Kuba uśmiechnął się lekko, rzadko ktoś mówił "Pan" na dwunastolatka.

-Yy... Dzień dobry, do Zakopanego.- Odpowiedział ojciec dopiero teraz wytracony z lektury. Kobieta uśmiechnęła się tak promiennie i szeroko, że Kuba miał wrażenie, że jej twarz pęknie na pół.

-Macieeeeek!- Zawołała przeciągle gdzieś w głąb przejścia, machając przy tym śmiesznie lewą ręką w sposób "nawołujący". Nie trzeba było długo czekać, a zaraz za nią ukazał się sam Maciek we własnej osobie. Obciążony wielkim plecakiem i torbą podróżną, którą ledwie włókł za sobą. Kuba, sam nie wiedząc czemu, wbił w niego spojrzenie, a nawet przez chwilę wstrzymał oddech. Maciek miał mniej więcej tyle lat co i Kuba, najwyżej rok młodszy. Proste blond włosy sięgające do ramion, i niesforna grzywka, która prawie wchodziła w piękne błękitne oczy. Kubie zdawało się, iż w tych oczach dojrzał odbicie nieba, ale kiedy tamten odwzajemnił spojrzenie, spuścił wzrok na ziemię.

-Czy mógłby pan przypilnować tego urwisa przez drogę? W Zakopanem na stacji czeka jego wujek, który go z stamtąd odbierze, nie powinien sprawiać żadnych problemów, była bym bardzo wdzięczna... - Spytała rozplywając się w swoim mdłym uśmiechu i wdzięczności.

-Tak tak, oczywiście, niema problem.- Odpowiedział ojciec. Tak jakby miał jakiś wybór...

Kuba ledwo powstrzymał uśmiech wpływający mu na buzię.

-Dziękuję bardzo, panie...

-Krzysztof, miło mi.- Przedstawił się ojciec lekko kiwając głową.

-Barbara.- Jej już na pewno było miło.

Matka obdarzyła zażenowanego syna kilkoma głośnymi cmoknięciami, powiedziała jeszcze ze dwie nikomu niepotrzebne formułki grzecznościowe i czym prędzej, ku uciesze wszystkich, opuściła pociąg, który miał się ku odjazdowi. Kuba z ojcem pomogli Maćkowi odpowiednio ustawić bagaże, i zasiedli wszyscy. Kuba przy oknie, obok ojciec, a na przeciwko Maciek...

Tak, właśnie, Maciek... Kuba nie mógł zebrać myśli, krążyły mu chaotycznie. Nie interesowało go już to co za oknem, ani cała reszta, co się wokół dzieje. W niewiadomy sposób ten złotowłosy chłopiec przykuł jego całą uwagę i wprowadził w stan dziwnego otępienia.

-Kuba jestem.- Wypalił nieśmiało, wyciągając dłoń przed siebie. Udało się, przerwał jakoś to niezręczne milczenie.

-Maciek.- Odparł tamten również wyciągając dłoń.

-Co, też w góry?

-No a jakże, tylko tam, nad morzem same nudy.

-Ha ha, tylko tam.

Rozmowa jakoś się rozkręcała. Maciek opowiedział Kubie o swoim wujku góralu, który wynajmuje pokoje, o swoich przygodach w górach, i o wszystkim innym, co ślina na język przyniosła. Kuba też się rozgadał, jedynie ojciec, niczym posępny monolit męczył poźólkę stronnice jakiejś książki.

Kuba cały czas badał swego nowego kolegę wzrokiem, zwłaszcza oczy, które przyciągały go niemal z hipnotyczną siłą błyszcząc przy każdym uśmiechu. Miał zagadkowy wyraz twarzy, diabełkowaty, a jednocześnie dobroniosny i wesoły. Za każdym razem, kiedy Kuba przez dłuższą chwilę wpatrywał się w oczy Maćka, ten uśmiechał się tylko odwzajemniając spojrzenie. Tak jakby wszystko rozumiał...

Nie umiał powiedzieć co się dzieje w jego głowie, sposób w jaki oddziaływał na niego Maciek był wprost niesamowity, nigdy wcze-

śniej nie zdarzyło mu się nic takiego. Przez chwilę pomyślał, czy to normalne, przecież to chłopak... Ale spojrzał znów w te niebiańskie oczy, i myśl ta wyleciała przez uchylone okno. Pociąg lekko skręcił i słońce zaczęło nieznośnie świecić Kubie w oczy, niecierpiał tego.

-Siadaj tu, tu nie świeci.- Powiedział Maciek i energicznie klepnął w miejsce obok siebie.

Kuba uśmiechnął się lekko i jak najszybciej zajął miejsce obok swego towarzysza podróży. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, patrząc jeden na drugiego kontem oka. Maciek ładnie pachniał, słodko i upajająco. Krótkie, luźne spodenki odsłaniały lekko opalone nogi, a zielonkawa koszulka idealnie komponowała z całą resztą. -Ładnie wygląda.- Stwierdził w duchu. I ten zapach... Poczł, że dłonie mu się pocą, zamknął oczy i odetchnął gęboko unoszącym się słodkim aromatem. Zauważył, że on też go bacznie obserwował, tylko bardziej dyskretnie.

-Zagrajmy w coś.- Tym razem to Maciek przerwał ciszę. Niewiadomo skąd wyjął jakąś kartkę i długopis, i dwóch strategów rozpoczęło partyjkę "kropek", opowiadając przy tym różne dowcipy i historie. Ale żaden z nich nie był skupiony na grze... Niby to przypadkiem, podając sobie długopis, lub pochylając się nad kartką, ich dłonie stykały się ze sobą. Kubie sprawiało to wielką przyjemność, czuł dziwne, radosne podniecenie, serce biło mu szybciej przy każdym "przypadkowym" dotyku. Spojrzał przelotnie Maćkowi w oczy. Ten podchwycił spojrzenie i uśmiechnął się lekko. Biorąc długopis chwycił jego dłoń i ścisnął delikatnie, patrząc na Kubę tym błękitnym, hipnotyzującym spojrzeniem. Kubie serce waliło jak oszalałe, nie mógł wydobyć z siebie słowa. Rzucił szybko okiem na ojca, ale on posągowo patrzył na książkę, nic nie widział.

Chłopcy puścili swe dłonie i powrócili do gry. Nie rozmawiali już, spojrzenia i gesty wyrażały więcej niż słowa. Kuba wiedział już gdzie się z ojcem zatrzymają tego lata, musiał tylko tego dopilnować, a będzie cudownie, cudownie...

Tas



wschodzące gwiazdy...

Dziecięca Eurowizja

opracował LT

Konkurs Piosenki Eurowizji dla Dzieci (ang. Junior Eurovision Song Contest) - dziecięcy konkurs muzyczny, organizowany przez Europejską Unię Nadawców (EBU) od 2003 roku, w którym udział biorą młodzi wykonawcy (w wieku od 8 do 15 lat) reprezentujący kraje członkowskie EBU.

Zasady konkursu wzorowane są na zasadach Konkursu Piosenki Eurowizji dla dorosłych. Nie obowiązuje tu jednak zasada organizacji kolejnego konkursu w kraju zwycięskiego wykonawcy: kraj-organizator jest wyznaczany przez EBU niezależnie od wyniku konkursu.

Piosenka nie może przekraczać trzech minut. Po zakończeniu występów, państwa głosują przez telefony i SMS-y. W głosowaniu nie można zagłosować na swojego reprezentanta. Na podstawie wyników głosowania prezenterzy telewizyjni z poszczególnych krajów ogłaszają liczbę punktów przyznanych najwyżej ocenionym piosenkom. Na początku podaje się punkty od 1 do 8 i pozostałe (10) i (12).

Konkurs Piosenki Eurowizji dla Dzieci 2008 (ang. Junior Eurovision Song Contest) był 6. edycją tego konkursu i odbył się 22 listopada w Limassol w Spyros Kyprianou Athletic Centre. W tegorocznej Eurowizji dla Dzieci udział wzięło 15 państw.

W **2009 roku Eurowizja** dla Dzieci będzie miała miejsce w Kijowie na Ukrainie. Po raz pierwszy od 2004 roku występować będzie reprezentant Polski. Nieznana jest jeszcze data finału, ani polskich eliminacji. Jest wielce prawdopodobne, że odbędą się w drugiej połowie roku.



Daniel Testa jest ambitnym i zdeterminowanym 11-letnim chłopcem z Malty. Do jego zainteresowań możemy zaliczyć śpiewanie, granie na bębnach, teatr i piłkę nożną. Śpiewa od czterech lat i w tym czasie wygrał wiele festiwali na Malcie i zagranicą.

W kwietniu 2008 Daniel wygrał „maraton monologu” w swojej szkole i w nagrodę pojechał na tygodniowe warsztaty do Pineapple Studios London, gdzie pracował z najlepszymi artystami z londyńskich musicali.



Na Eurowizję Daniel pojechał z piosenką „Junior Swing” – jest to wiadomość mówiąca, że nie ważne ile lat masz – zawsze możesz tańczyć swinga i spędzać w ten sposób miło czas. W czasie konkursu zdobył 100 punktów i został sklasyfikowany na 4 miejscu.



Jego występ obejrzyjcie na: <http://www.delmarrworks.com/gorges/list.php?q=daniel+testa&filter=on>

Ten jedyny...

[CZĘŚĆ 1 - GENEZA]

W podstawówce byłem raczej nieśmiałym chłopcem, miałem dosyć wąskie grono kolegów. Od pierwszych klas byłem bardzo hmm... ciekawy swojej i innych seksualności. A raczej było to coś w rodzaju: "co oni TAM mają?". Bawiłem się z dziewczynami i z kolegami. Do niektórych zabaw byłem wciągany, inne sam prowokowałem. Dzięki rodzicom znałem dwie osoby (obie młodsze ode mnie o 3 lata), z którymi wyjątkowo owocnie i miło spędzałem czas... Heh, pamiętam jak z kuzynką przez chyba 5 lat (bodajże aż do mojej 1 gim) ciągnąłem zabawy w doktora, szpital, rodzinę, pokera rozbieranego (oj, zawsze wtedy oszukiwałem)... No ale ona za złe mi tego nie ma, wbrew przeciwnie teraz się bardzo lubimy i dosyć często widzimy. Na pewno po części za sprawą jej młodszego braciszka (prawie 9 lat, drobnej budowy, blondyn, lubił sporty, diabelnie inteligentny, niesamowicie słodki...). Z nim to zresztą osobna historia - znam go od narodzin, a on za mną szaleje. Cały czas się do mnie przytula, wchodzi na kolana, na barana, a ja od kilku miesięcy zacząłem to doceniać... Tylko MNIE traktuje w taki sposób, z tego co zauważyłem.

[CZĘŚĆ 2 - POZNANIE]

Po skończeniu podstawówki nastąpiła zmiana szkoły połączona z przeprowadzką. To było gdzieś pod koniec czerwca. Odnowiłem kontakt z najlepszym kolegą z przedszkola i razem z kilkoma chłopakami chodziliśmy na boisko grać w piłkę. Pewnego dnia przyszło do nas dwóch nowych chłopaków i... nie mogłem od jednego z nich oderwać wzroku. Nigdy mnie coś takiego wcześniej nie spotkało. Miał na imię Dawid i stał przede mną w czerwonej koszulce i czarnych krótkich spodenkach Manchesteru United. Był dosyć niskim i

chudym chłopcem, miał idealnie gładką skórę, bez jakichś włosów, czy defektów. Włosy - brunet, krótko ostrzyżony. Po przyjrzeniu dostrzegłem niebieskie oczy i jeszcze dziecięce rysy twarzy. Uwagę przyciągały naprawdę ładne nogi - zgrabne, lekko umięśnione - jak to od grania w piłkę. No i te ręce... Był w moim wieku, a wyglądał na przynajmniej na 2 lata młodszego. Pamiętam, że pomyślałem wtedy: "chciałbym go bliżej poznać...". Niestety nie widziałem go przez resztę wakacji... No, ale przynajmniej miałem kilka ciekawych wieczorów w łóżku.

[CZĘŚĆ 3 - POLOWANIE]

Pierwszego września przyszedłem do nowej klasy, wchodzę, rozglądam się - siedzi mój kolega z przedszkola. Dosiadam się. Patrę, patrzę... jest! Dawid siedział w pierwszej ławce, zaraz przy nauczycielu. Mój



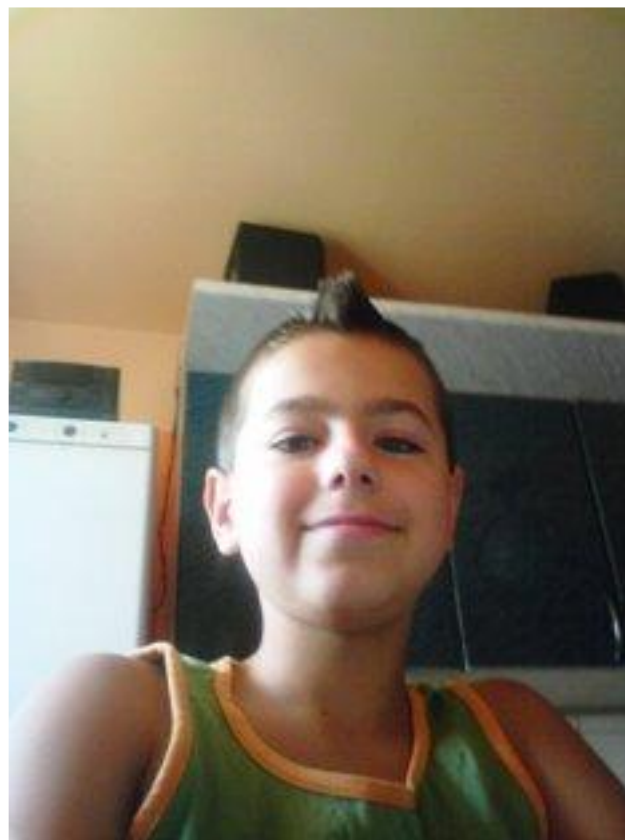
tajemniczy chłopiec poznany na boisku. Myślę sobie: "muszę się z nim zakolegować!", no ale to zakolegowywanie trochę trwało i na początku nie było tym czym chciałem żeby było.

Po miesiącu już mniej więcej się znaleźliśmy i łącznie w 7 albo 8 chłopaków tworzyliśmy szkolną paczkę. Niestety na razie tylko szkolną, bez spotykania się po szkole. Nastąpiła zima, a mi zostawały zabawy samemu ze sobą i powtarzanie w myślach "muszę go zdobyć!". Tak... naprawdę tak wtedy myślałem. Tym bardziej, że on dawał naprawdę sporo sygnałów, że chce się bawić w takie rzeczy. Czasami robił dziwne ruchy, czy mówił nagle coś związanego z seksualnością... Ja to analizowałem i odbierałem to jako seksualne zaczepki. Cały czas myślałem jak mógłbym się do niego zbliżyć.

Nastąpiła wiosna, czas zrzucić ciuszki i wyjść na świeże powietrze. W jednej z rozmów w naszej paczce okazało się, że Dawid jest zapalonym kolarzem i szuka kompanów na dłuższe wycieczki. Okazało się również, że z całej grupy tylko ja podzielałem jego zdanie. "to moja szansa!" - pomyślałem i... umówiłem się na nasze pierwsze spotkanie, tylko we dwoje...

[CZĘŚĆ 4 - KOLEŻEŃSTWO]

No i zaczęliśmy ze sobą jeździć na rowerach. Wiosna była tego roku wyjątkowo ciepła i już na początku kwietnia pomykaliśmy po okolicach naszego miasta. Jeździliśmy naprawdę sporo, kilka razy w tygodniu. Wycieczki dłuższe i krótsze, po mieście, po lesie, dookoła jeziora, wzdłuż rzeki, na wysoczyznę... Na rowerze zbyt wielu zajmujących rzeczy nie ma - więc rozmawialiśmy i poznawaliśmy się nawzajem. A gadaliśmy o wszystkim... dzieciństwie, kolegach, koleżankach, obgadywaliśmy nauczycieli, rodziców, o jeźdzeniu, ciuchach, filmach, sporcie, zainteresowaniach, o przyzwyczajeniach, przyszłości... co nam na myśl przychodziło. Po kilku tygodniach byłem w nim jeszcze bardziej



zakochany, był dla mnie coraz bardziej doskonalszy no i... cały czas był w strefie marzeń. Był naprawdę słodki w swojej dziecinności, bardzo kulturalny, ale niestety w mojej obecności nie przejawiał zbytniego zainteresowania seksualnością, a także moją osobą w sensie pożądania. Na szczęście było kilka momentów, które nas wyjątkowo ze sobą zbliżyły...

Pewnego razu będąc w lesie na rowerach, jak zwykle zboczyliśmy ze szlaku. Przedzierając się przez liczne pokrzywy, krzaki, przewalone drzewa, wielokrotnie prowadząc i przenosząc rowery dojechaliśmy do cudnego miejsca w dolinie ze strumykiem spływającym z góry. Całość wyglądała tak, jakby od kilku lat żaden człowiek tutaj nie dotarł. Nad całą doliną, ok. 10 metrów nad nami, leżał ogromny imponujący pień drzewa. Jako, że wtedy nic nam straszne nie było, wdrapaliśmy się na górę, hyc, hyc i już "spacerowaliśmy" po pniu drzewa. Ja szedłem pierwszy, on zaraz za mną. W połowie drogi omskła mi się noga i aaaaaa... lecę w dół! Rozpaczliwie próbowałem się czegoś złapać rękoma, ale cały pień był

pokryty w mchu i czego się nie złapałem to się odrywało. Już miałem śmierć (a przynajmniej złamanie nogi) w oczach, kiedy Dawid złapał mnie za rękę. Sam nie byłby w stanie mnie utrzymać, ale siła oporu jakiej mi udzielił wystarczyła abym z jego pomocą wygramolił się z powrotem na pień drzewa. Uf... Przez 5 minut leżałem okrakiem z głową w mchu i nie chciałem się nigdzie ruszyć...

Innym razem (również na rowerach), postanowiliśmy zrobić sobie "skrót" przez pole. Już pierwsze 50 metrów zwerifikowało nasze zamiary. Wysokie na 2 metry rośliny chwasto i pokrzywo podobne, błoto pod nogami i w dodatku dookoła komary. Jak zawsze szedłem z przodu, kilka metrów przed Dawidem, kiedy słyszę "aaaa!! boliii!" Szybko do niego podbiegam. Patrzę - trzyma się za nogę. Kucam... o kurczę - co za idiota-myśliwy zostawił otwarty stalowy potrzask pośrodku pola?! Udało mi się rozszerzyć potrzask na tyle, aby wydostać jego nogę. Dawid miał szczęście - potrzask był dosyć stary z lekko zardzewiałym mechanizmem, co w połączeniu z długimi dzinsami nie doprowadziło do przebicia skóry. Mimo wszystko ból musiał być tak niewyobrażalny, że Dawid... zemdlął. O dziwo, nie spanikowałem. Kucnąłem nad nim, sprawdziłem puls, oddech (byłem wcześniej na obozie militarnym, to odbyłem przeszkolenie z podstawowych zasad pierwszej pomocy), potrząsnąłem go za barki - nic, klepnąłem kilka razy w policzek - nic. Zacząłem się denerwować... Pomyślałem "A może by tak..." i cmoknąłem go w policzek. Podziałało! Ocknął się.

[CZEŚĆ 5 - PRZYJAŹŃ]

Byliśmy wtedy pośrodku pola, kilkanaście kilometrów od miasta, a w dodatku Dawid nie mógł chodzić i wyglądał tak blado jakby miał zaraz zemdleć drugi raz. Czym prędzej schowałem rowery w krzakach (wrócimy po nie później - pomyślałem). Dawid objął mnie jedną ręką i zaczęliśmy kuśtykać w stronę drogi (od której byliśmy oddaleni

gdzieś o kilometr). Po kilku krokach kuśtykanie o mało nie skończyło się wywaleniem nas obojga. Zmieniliśmy taktykę - wziąłem Dawida na rękę, a on objął mnie za szyję. Był całkowicie zależny ode mnie, czułem każdą część jego ciała. Byłem za niego odpowiedzialny. Do ulicy ledwo doszedłem, zatrzymując się chyba ze 3 razy. Sam nie wiem, kto wyglądał bardziej blado, gdy łapaliśmy stopa: ja, czy on... Długo czekać nie musieliśmy - zabrał nas pierwszy nadjeżdżający samochód. Dawidowi zaczęły wracać siły, ale ból nogi nie ustępował, więc pojechaliśmy do szpitala. Okazało się, że noga jest tylko mocno zbita i za 2-3 dni wszystko wróci do normy. Bardzo szybko przyjechali po niego rodzice, ja też się z nimi zabrałem do domu. Pod wieczór pojechałem ze swoimi rodzicami na tamto pole - po rowery. Na szczęście nikt ich nie ukraść.

Następnego dnia ojciec powiedział, że może za darmo załatwić karnety dla dwóch osób na basen - i to dwa razy w tygodniu. Ale się wtedy ucieszyłem. Czym prędzej udałem się z odwiedzinami do Dawida, aby dowiedzieć się jak się czuje i złożyć mu ciekawą propozycję. W drzwiach powitał mnie solidnym uściskiem i wyszeptał do ucha:

- dziękuję

- za co?

- oj, już wiesz za co...

Uśmiechnąłem się i zapytałem - mój ojciec załatwił za darmo karnety, chciałbyś chodzić ze mną na basen?

- mhm... - powiedział i również się uśmiechnął

[CZEŚĆ 6 - NAJLEPSI PRZYJACIELE]

No i tak po dosyć krótkim okresie znajomości zostaliśmy najlepszymi przyjaciółmi. Szkoła, nie szkoła - widywaliśmy się codziennie. Rower, piłka, czy po prostu szwędanie się po osiedlu - nigdy się ze sobą nie nudziliśmy. Chodziliśmy razem na basen. Już pierwsza wizyta ukazała całkowite piękno jego ciała. Był szczupły i raczej wysportowany, ale jednocześnie nie miał wyraźnie zarysowanych mięśni. Nie

był też przesadnie wychudzony - miał tyle ciała ile trzeba. Na początku były niejako podchody z mojej strony. Wiedziałem, że w szatni jest przebieralnia, ale na basenie wojskowym (a na taki chodziliśmy) nikt z niej nie korzystał. A i ja nie chciałem, aby Dawid tam chodził... Po wyjściu z wody, uważnie obserwowałem Dawida. Razem opuściliśmy prysznice, ale myśliśmy się w majtkach. W sumie długo nam to zajęło - gdy wchodziliśmy do szatni to ostatnie osoby właśnie z niej wychodziły. W szatni miałem miliard myśli - od czasów wczesno-dziecięcych się przed nikim nie obnażałem. Wstydziałem się nawet rodziców, a na basenie zawsze korzystałem z przebieralni lub też zakrywałem się ręcznikiem. No, ale tutaj zdecydowałem się na odważny ruch. Na wstępie zdjąłem kąpielówki i zacząłem się wycierać. Po chwili Dawid zrobił to samo. Powiedział: "ale dużo wody na ziemi", po czym wszedł na ławkę. Ta scena wielokrotnie śniła mi się i śni ciągle po nocach. Naguśki Dawid stojący kilkadziesiąt centymetrów przede mną na ławce, z zamkniętymi oczami i wycierający swoje włosy na głowie. Eh... No i od tamtej pory dwa razy w tygodniu miałem cudne widoki. A Dawid do przebieralni nie chciał chodzić nawet wtedy, kiedy się o niej dowiedział... Na basenie spędzaliśmy naprawdę miłe chwile. Nie pływalismy dużo, jako tako, ale wyrzucaliśmy się nawzajem w powietrze, skakaliśmy z trampoliny, nosiliśmy się na barana, podtapialiśmy, goniliśmy itd.

Dawid praktycznie codziennie przychodził do mnie do domu - o różnych porach: zaraz po szkole, przed kolacją, po kolacji... Mieszkaliśmy bardzo blisko siebie, kilka minut piechotą - mógł wracać do domu nawet jak już było ciemno. Lubił u mnie przebywać, tym bardziej że on w przeciwieństwie do mnie, do zamożnych nie należał, a u mnie zawsze mama przynosiła dla nas jakieś rarytasy. Miałem komputer z Internetem (czego on niestety nie posiadał). W tym okresie tryumfy święciła gra Deluxe Ski Jumping oraz FIFA. Oj, ile myśmy przy tym spędzili czasu...

Jak tak siedzieliśmy razem to bardzo lubiłem się na niego patrzeć, nie mogłem oderwać wzroku od jego oczu, ust, policzków... On dobrze o tym wiedział, nie przeszkadzało mu to. On także mi się bacznie przyglądał. Może nie tak często jak ja, ale dało się zauważyć.

Ufaliśmy sobie, znajdowaliśmy w sobie oparcie. Mieliliśmy sporo wspólnych sekretów, bawiliśmy się w odkrywców, "eksplorowaliśmy" dzikie obszary lasu, budowaliśmy bazy - te sprawy. Jeździliśmy razem nad morze autobusem na jednodniowe wycieczki. Rozmawialiśmy o wszystkim, także o życiowych problemach i o tym jak sobie z nimi radzić. Dawid był osobą, do której można było się wygadać, potrafił pocieszyć - podobnie było ze mną. Czasami w efekcie szczerzej rozmowy przytulaliśmy się do siebie w pocieszającym geście.

Dawid wyglądał sporo młodziej ode mnie - przede wszystkim był niższy, zachowywał się też chyba troszkę bardziej dziecinniej ode mnie. Zależało mi na nim, troszczyłem się o jego, pomagałem we wszystkim jak mogłem. Pewnego razu jak sobie szliśmy przez centrum powiedziałem do niego coś w stylu:

- w sumie to mógłbym być twoim starszym bratem
- taaak?
- no tak to chyba wygląda jak tak sobie idziemy ulicą...
- to w takim razie, jeśli mam być tym młodszym to muszę ci zrobić siarę - odparł po chwili zastanowienia

Jak powiedział, tak zrobił. Centrum miasta, godzina około 15, środek tygodnia, tłum ludzi wracających z pracy, a on zaczyna podskakiwać, pokazuje palcem na sygnalizację świetlną i zaczyna krzyczeć "zieloneeee!", "zieloneeee!". Po chwili zaczyna skakać w kółko i pokazuje po kolei wszystkie sygnalizacje w okolicy: "zieloneee! czerwoneee! zieloneee! czerwoneee! ...". Złapałem go za buzię, odciągnąłem na bok i... już nie chciałem być jego starszym bratem.

Generalnie Dawid był bardzo pozytywnie nastawionym do świata człowiekiem. We wszystkim widział same plusy, nie wstydził się swoich zachowań, był otwarty do ludzi i chętny do pomocy. Jak teraz patrzę na siebie, to zaczynam sobie zdawać sprawę jak wiele się od niego nauczyłem...

Niestety nie obyło się bez kłótni i sprzeczek. Obrazaliśmy się za drobiazgi, które... świadczyły o naszej przyjaźni. Pamiętam jak obraziłem się na niego za to, że jeżdżąc na rowerach schował się i nie mogłem go nigdzie znaleźć. On się na mnie innego razu obraził za to, że przy okazji proponowania czegoś "ekskluzywnego" do jedzenia, podkreśliłem niepotrzebnie jego stan majątkowy... Na szczęście zawsze szybko się godziliśmy, przychodziliśmy z przeprosinami jeden do drugiego, nie mogliśmy znieść braku kontaktu ze sobą...

Mieliśmy wiele zabaw polegających na wzajemnym dotykaniu się. Naszą ulubioną było wzajemne łaskotanie się do upadłego. Zaczynaliśmy się łaskotać i przegrywała ta osoba, która nie mogła "wyrobić" ze śmiechu. Standardowe metody nie zawsze działały i często w ferworze zabawy zdejmowaliśmy sobie nawzajem koszulki i łaskotaliśmy się na nagie ciała. Zabawa przypominała zapasy - przewracaliśmy się nawzajem, staraliśmy się zablokować ręce przeciwnika i uzyskać dostęp do najbardziej wrażliwych na łaskotki miejsc. Często zamieraliśmy w bezruchu w nienaturalnych pozycjach, przygniataliśmy przeciwnika. Dużo było przytulania, objęć... Po kilku minutach od ciągłego śmiania się i przewracania byliśmy oboje już tak zmęczeni fizycznie, że brakowało nam sił do dalszej walki. Wtedy staraliśmy się szukać pozycji która zablokuje wszystkie ruchy przeciwnika. Bardzo popularna i lubiana była pozycja, gdy jedna osoba leżała na drugiej na brzuchu, trzymaliśmy się nawzajem za ręce, mieliśmy splecione nogi - tak, że nikt nie mógł wykonywać żadnych ruchów, a nasze głowy znajdowały się jedna obok drugiej, policzek przy policzku w taki sposób, że każdy wyczuwał oddech drugiej

osoby. W takim uścisku potrafilismy odpoczywać przez kilka minut. Po odpoczynku zazwyczaj dalej kontynuowaliśmy walkę, chyba że ktoś w tym momencie pasował. Raz "tłukliśmy" się przez prawie dwie godziny i byliśmy potem tak przesiąknięci potem, że nasze ciała kleiły się do siebie, a po walce to chyba z godzinę leżeliśmy obok siebie i dyszeliśmy. Generalnie ta zabawa mnie strasznie podniecała, te wszystkie zbliżenia i dotykanie się nawzajem... Dawidowi też się podobała, a ja zacząłem kombinować jakby tu pójść krok dalej. Nie chciałem, a także wstydziłem się "zagrać w otwarte karty". W tym okresie to chyba skrywaliśmy swoje prawdziwe emocje, które znajdowały uwolnienie w czasie naszych codziennych zabaw.

Nadszedł grudzień, moi rodzice wychodzili z domu na całą noc na imprezę mikołajkową. Postanowiłem zaprosić Dawida do siebie na noc. Po długich negocjacjach i proszeniu, jego rodzice się zgodzili...

[CZĘŚĆ 7 - TO MIŁOŚĆ, CZY TEST?]

Przed spotkaniem mocno postanowiłem sobie, że w końcu przestane ukrywać swoje prawdziwe uczucia. Dawid przyszedł do mnie późnym popołudniem zaraz po kolacji. Był początek grudnia, mieliśmy oboje po 14 lat. Cieszyłem się wtedy możliwością zagrania na komputerze w Drivera 3 mniej więcej pół roku przed premierą. Graliśmy na przemian cały wieczór, około godziny 2 gra została przez nas ukończona. Zaczęliśmy się zbierać do spać. Podjęliśmy wspólną decyzję, że nie ma potrzeby rozkładania drugiej kanapy i z powodzeniem pomieścimy się na tym co jest (łóżko szer. 100cm). Uzналиśmy też za niepotrzebne wyciąganie drugiej kołdry - przecież jedna nam starczy. Rozebraliśmy się do bokserów i... co ja widzę - ktoś tu chce się bawić w łaskotanie. Po skończonej zabawie, chyba oboje byliśmy trochę podnieceni bo zdecydowaliśmy, że udamy się przed telewizor, aby "coś obejrzeć". Dawid przejął pilota i

zaczął skakać po kanałach. Zatrzymał się na Polsacie, gdzie akurat zaczynał się film z serii XXX. Co miałem zrobić? Zaakceptowałem kanał. Po chwili ku mojemu zdziwieniu zaobserwowałem z jego strony dwuznaczne ruchy. Masował przez bokserki swoje przyrodzenie. Dlaczego się zdziwiłem? Zaczynałem powątpiewać, czy Dawid się w ogóle zajmuje TYMI rzeczami... Podchwyciłem temat i po chwili siedzieliśmy obok siebie wykonując te same czynności. Oczywiście to, co leciało w TV mnie nie interesowało - skupiałem swoją uwagę na nim...

Po chwili program w telewizji się skończył, przeszliśmy się przed komputer gdzie kontynuowaliśmy naszą zabawę. Nie minęła minuta, gdy przeszliśmy krok dalej, zdejmując nasze bokserki. To był dla mnie widok marzenie... Ciężko było mi obsługiwać komputer, oddałem Dawidowi myszkę, a sam zająłem wygodne miejsce z widokiem za jego plecami. Parę minut później zabawa się skończyła, odbyliśmy wizytę do łazienki, aby się wyczyścić i weszliśmy do łóżka. Już w bokserkach.

- Mam tu jedną szeroką kołdrę i dwie poduszki. Przynieść Ci jakiś koc, czy jakoś damy sobie radę? - spytał Dawida

- Jakoś sobie poradzimy - odpowiedział i szeroko się uśmiechnął.

Leżymy sobie obok siebie, gadamy o mnóstwie mniej lub bardziej ciekawych rzeczy. W naszej rozmowie pojawił się jeden nowy temat - masturbacja. I generalnie seksualność. Sposoby, marzenia, doświadczenia, itd. itp... W pewnym momencie naszło nas na "łaskotkowe zapasy", z tą różnicą, że tym razem wszystko było bardziej, hmm..., seksowne. W pewnym momencie jego ręka wylądowała na moim przyrodzeniu i...zaczęło się. Ależ my byliśmy wtedy napaleni. Resztę nocy spędziliśmy na mniej lub bardziej abstrakcyjnych seksualnych zabawach. Nad ranem zasnęliśmy w objęciu...

Wstałem rano pierwszy i obudziłem Dawida cmoknięciem w policzek. Widząc, że on czuje się zmieszany zapytałem: "co się stało? żałujesz ostatniej nocy?" "nie. to nie o to chodzi, po prostu jakoś tak się słabo czuję". Zrobiliśmy sobie śniadanko i poszliśmy na basen.

[CZEŚĆ 8 - DOBRE ZŁEGO POCZĄTKI]

Przez kilka dłuższych miesięcy wszystko było jak w bajce. Spotykaliśmy się codziennie, ja lubiłem się bawić jego włosami, on mnie lubił obejmować (ja w sumie też). Czasami były cmoknięcia na dzień dobry albo dowidzenia. Kilka razy nocował u mnie, jeździliśmy razem nad morze, nad jezioro...

Kiedy wszystko było takie sielankowskie - zaczęliśmy się obrażać. O błahostki - ktoś coś nie tak powiedział, a to ktoś kogoś mocniej uderzył w zabawie, nie przyszedł jak miał przyjść, zrobił coś głupiego... Zawsze się godziliśmy, przepaszaliśmy.

Ale niestety... co dobre nie trwa wiecznie... Gdzieś w połowie trzeciej klasy gimnazjum Dawid zaczął się oglądać za dziewczynami. Nie odrzucał mnie, ale nasze stosunki stopniowo ulegały ochłodzeniu. Rzadsze spotkania, koniec czułych zachowań. Nawet wspólne masturbacje robiły się coraz rzadsze i rzadsze.

[CZEŚĆ 9 - TO JEST JUŻ KONIEC...]

Na ostatniej wycieczce klasowej, w maju, wszyscy się spili okrutnie. Nie wiedzieli gdzie jest niebo a ziemia. Dawidek nie był gorszy. Ja, mimo takiej samej dawki alkoholu, trzymałem się "jakoś" na nogach i odprowadzałem towarzystwo po domkach. Dawida potraktowałem szczególnie. Pościeliłem łóżko, rozebrałem go do bokserek i ułożyłem. Na koniec ukląknęłam nad nim i mając świadomość, że chyba po raz ostatni mogę go pocałować - nachyliłem się. On powiedział: "o, stary" i objął mnie otwierając jednocześnie usta. To był najdłuższy, najbardziej erotyczny i najbardziej soczysty pocałunek w moim życiu.

Po wycieczce nasze relacje ustosunkowały się na czymś pomiędzy przyjacielskie, a koleżeńskie. Po zmianie szkoły ucichły kompletnie... Nie chciałem zmieniać Dawida na siłę, odpuściłem. Zostały wspomnienia. Bardzo ciepłe, ale jedynie wspomnienia. Może Dawid kiedyś do mnie wróci?

anonim

Imię Dawid, jak i jego wygląd, zostały zmodyfikowane na potrzeby tego artykułu, aby utrudnić identyfikację zainteresowanej osoby.

recenzje - film

Chłopiec w pasiastej piżamie

reżyser: Mark Herman

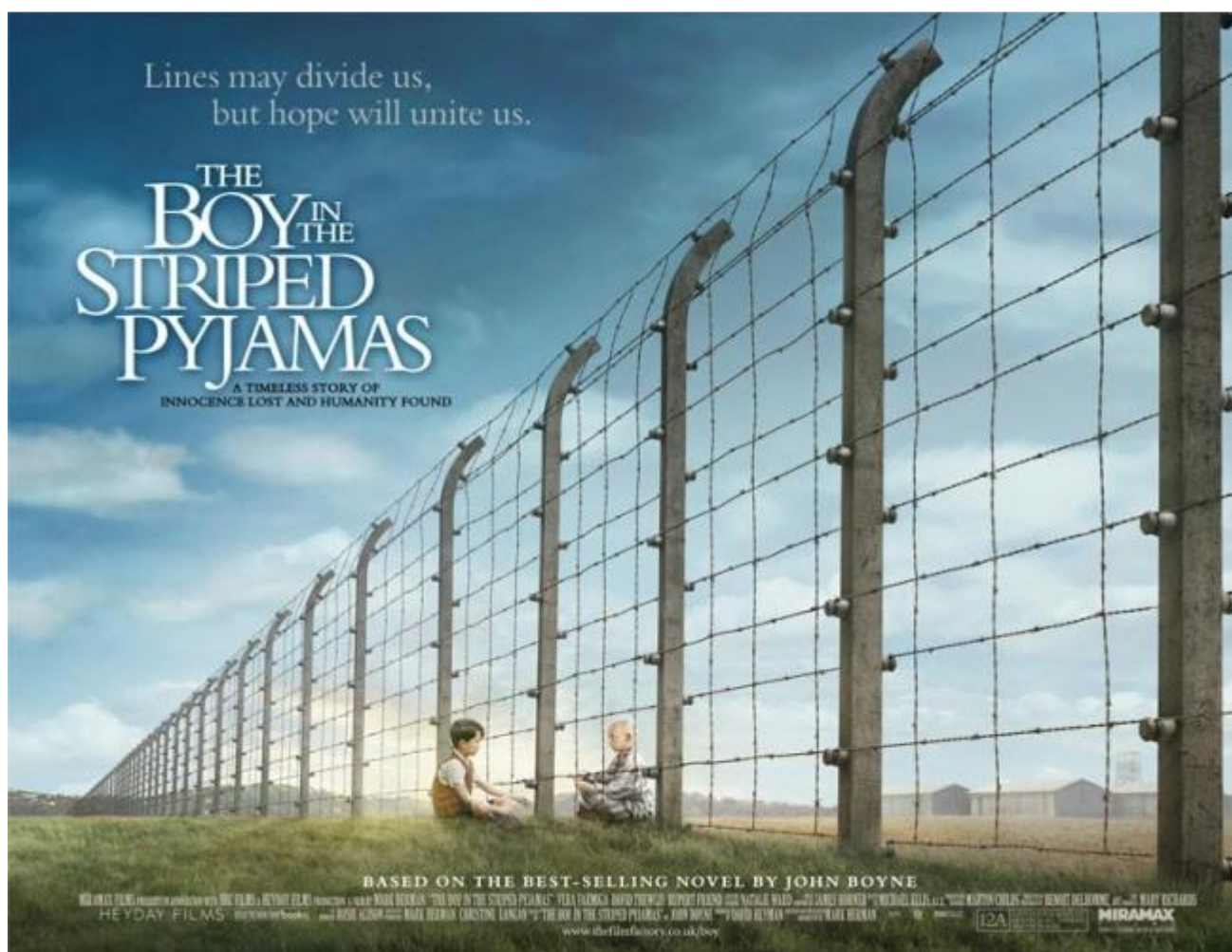
w roli głównej: Asa Butterfield

"Chłopiec w pasiastej piżamie", to historia pewnego chłopca o imieniu Bruno, który mieszka w Berlinie, ma wielu kolegów, których uważa za prawdziwych przyjaciół. Do czasu. Kiedy przeprowadza się do Poświęcia razem z rodzicami i siostrą, wszystko się zmienia. Podczas wędrówki wzdłuż drutów poznaje pewnego chłopca. Jego życie zmienia się z dnia na dzień.

Pasiasta piżama to w istocie ubranie więźnia obozu koncentracyjnego. Ale 8-letni Bruno nie wie, że niedaleko domu, do którego właśnie wprowadziła się jego rodzina, w komorach gazowych mordowani

są Żydzi. Jego ojciec - komendant obozu - skrzętnie ukrywa przed rodziną naturę swojej pracy, wszelkie pytania zbywając ideologicznymi hasłami o "działaniu na rzecz narodu". Szukający przygód, powodowany ciekawością Bruno łamie zakaz rodziców, opuszcza podwórze i dociera do obozu w miejscu, gdzie po drugiej stronie ogrodzenia siedzi Szmul. Z żydowskim chłopcem połączy go zakazana przyjaźń, której konsekwencje będą tragiczne.

Zderzenie dziecięcej niewinności z horrenalnym okrucieństwem jest tematem nienowym, aczkolwiek nośnym. Roberto





Benigniemu przyniósł on Oscara, Markowi Hermanowi szansę na zrealizowanie filmu o brutalnej inicjacji - wymuszonej przez wdzierającą się w wyobraźnię dziecka wojnę. Reżyserowi "Chłopca w pasiastej piżamie" nie udało się jednak do końca wykorzystać tej okazji. Niezłe poradził sobie ze zbudowaniem ramy opowieści, nie potrafił jednak wydobyć z niej psychologicznych niuansów i subtelności. Z początku nasycony kolorami film ustępuje później miejsca mrocznej tonacji, ale pomiędzy tymi dwoma skrajnościami brakuje dobrze skonstruowanych bohaterów. Bruno jest zbyt naiwny nawet jak na dziecko i bardziej irytuje, niż wzbudza sympatię. Jego relacji ze Szmulem brakuje autentycznych emocji, pewnej magicznej aury, jaka towarzyszy przyjaźniom z dzieciństwa. Porządna, ale szampańska reżyseria ogranicza niezłą przecież historię do schematów.

Tymczasem dróg, którymi mógł pójść Herman, jest sporo. Vera Farmiga robi, co może, aby oddać dramat żony, która odkrywa, że mąż masowo zabija ludzi. Brakuje jej jednak czasu na stworzenie pełnej kreacji. Zupełnie puszczone zostały interesujące wątki zbuntowanej matki komendanta i bezwzględnego żołnierza, którego ojciec uciekł do Szwajcarii. David Thewlis odgrywa po prostu stereotyp nazisty, a kiedy dowiadujemy się o pęknięciu w jego nieskazitelnym życiorysie, Sherman szybko od tego ucieka. "Chłopiec w pasiastej piżamie" to nakreślona grubą krechą opowieść, która uderza tylko raz - w finale. Lecz sama natura zakończenia sprawia, że nie zepsułaby go nawet przeciętna realizacja.

Błażej

Polska premiera: 6 marca 2009

recenzje - książka

Moje drzewko pomarańczowe

José Mauro de Vasconcelos

U nas w domu wszyscy skakaliby z radości, gdyby mnie mogli oddać. Odetchną z ulgą. Mam siostrę, która rodziła się między Glórią i Totocą, oddali ją do rodziny na północ Brazylii (...). Jeśli nie będą chcieli mnie oddać, możesz mnie kupić. Tatuś nie ma pieniędzy. Na pewno mnie sprzeda. Jeśli zażąda za mnie dużo, możesz mnie kupić na raty (...)



„**Moje drzewko pomarańczowe**” autorstwa José Mauro de Vasconcelos została napisana w roku 1968 i wciąż cieszy się ogromną popularnością. W 2007 roku do sprzedaży w Polsce trafiło nowe wydanie. „Historia małego chłopca, który poznał cierpienie” od wielu lat wzrusza miliony czytelników na całym świecie. Książka została przetłumaczona w wielu krajach, a także przeniesiona na ekran.

„**Moje drzewko pomarańczowe**” to historia pięcioletniego Zezé pochodzącego z brazylijskiej rodziny, na co dzień borykającej się z biedą - opisana już przez dorosłego, czterdziestoosmioletniego bohatera. Dzięki wspomnieniom ukazanim w książce Vasconcelos’a możemy cofnąć się w czasie i zobaczyć to, co na co dzień widział bystry i niezwykle inteligentny chłopiec. Skąd u pięciolatka brała się tak niesamowita troska o młodsze rodzeństwo i innych, biedniejszych niż on ludzi? Zezé, który przez wszystkich postrzegany był jako diabeł wcielony, wykazywał ogromną wrażliwość i przejęcie losem innych. Mimo, iż sam nie miał pieniędzy na jedzenie, potrafił podzielić się szkolnym śniadaniem z Dortilią – murzyńską dziewczynką, z którą nikt nie chciał się bawić, bo była czarna i bardzo biedna. Zezé pomagał jej, gdyż nauczono go, że powinien dzielić biedę z tymi, którzy są jeszcze biedniejsi niż on sam. Chłopiec mimo swojej dobroduszości płatał innym rozmaite psikusy, które wywołują u czytelnika uśmiech na twarzy, by chwilę później przemienić owy uśmiech w przejęcie wywołane cierpieniem ukaranego dziecka. Ucieczką od codziennej niesprawiedliwości i niezrozumienia był dla Zezé świat fantazji i wyimaginowana rozmowa z drzewkiem pomarańczy rosnącym w ogrodzie za domem. To właśnie owo drzewko było powiernikiem sekretów

chłopca. To jemu mógł zwierzać się ze swoich smutków, opowiadać, co dziś porabiał czy wyzalić się.

Książka Vasconcelos'a to historia wyjątkowo smutna. Wzruszyło i przejęło mnie cierpienie Zezé. Były momenty, gdy smutek nie pozwalał mi czytać dalej, a oczy piekły od łez. Czytając tę książkę odnosi się, jakby było w skórze tego dziecka i cierpi się razem z nim. Pomstuje się jak Zezé na niesprawiedliwość tego świata. Wydawało mi się, że to ja dostawałam te wszystkie razy, że to moją skórę smagano pasem za niecne uczynki. Czym zawiniło to niewinne dziecko? Zezé był po prostu nad wyraz żywym dzieckiem. Miał w końcu 5 lat, był ciekawy otaczającego go świata i skrupulatnie go poznawał. Starał się być grzeczny, ale nie zawsze mu się to udawało. Wówczas łojono mu skórę.

Czytając „Moje drzewko pomarańczowe” myśli się: „Teraz nie może być już smutniej... może być już tylko lepiej”. Niestety. Los chciał, żeby życie Zezé potoczyło się inaczej. Szczęście i nadzieja, które go najpierw spotkały, a potem cierpienie, które na niego zesłano sprawiło, że kurnik, który dla dziecka niegdyś był ZOO z dzikimi zwierzętami, na powrót stał się zwyczajnym kurnikiem. Czarna, dzika pantera stała się starą, czarną kurą, którą Zezé zjadł na obiad w rosole. Chłopiec tak bardzo chciał, żeby jego małe drzewko w końcu zakwitło, że kiedy to się stało, biały kwiat był pożegnaniem ze światem fantazji. Dlaczego? Co tak bardzo wpłynęło na wyobraźnię tego pięciolatka? Co sprawiło, że przestał widzieć w rynsztoku Amazonkę? Tego nie mogę Wam zdradzić, drodzy czytelnicy. Tego dowiecie się sami, sięgając po „Moje drzewko pomarańczowe”. Książka José M. de Vasconcelos, którą gorąco polecam to jedna z tych książek, które się pamięta jeszcze długo po przeczytaniu. Mimo swojej dziecinności książka nie jest adresowana do małych dzieci, a każdy dorosły odnajdzie w niej wiele uniwersalnych wartości, takich jak dobro, pomoc bliźniemu,



przyjaźń. Dzięki tej książce świat dziecięcych marzeń na powrót ożyje.

Zapewne każdy z nas miał kiedyś swoje małe drzewko pomarańczy, które w końcu zakwitło i przestało być nam potrzebne. Zajrzyjcie w głąb swojej duszy oraz pamięci i powróćcie do świata dziecięcych marzeń – chociaż na chwilę.

Kasia

"Moje drzewko pomarańczowe" jest w sprzedaży w największych księgarniach w cenie nie przekraczającej 25zł.

rozmowa - film

Wątpliwość

rozmawia siostra zakonna z matką chłopca

opracował LT

Siostra zakonna [S]: Spotkałaś Ojca Flynn?

Matka chłopca [M]: Widziałam tylko przy ołtarzu, nie poznałam go osobiście. Nie. Tylko Donald mi opowiadał.

[S]: I co mówił?

[M]: Oh, wiesz, "Ojciec Flynn, Ojciec Flynn." Szanuje go. On daje mu czas, to co chłopak potrzebuje. Potrzebuje tego.

[S]: Mrs. Miller, możemy mieć problem.

[M]: Musiał być powód, dla którego chciała się pani spotkać. Bycie przełożoną to ważna praca. Chciałam powiedzieć, tylko do czerwca.

[S]: Przepraszam?

[M]: Jakikolwiek to problem, Donald musi wytrzymać do czerwca. Później idzie do liceum.

[S]: Racja.

[M]: Jeśli Donald skończy St. Nicholas, będzie miał lepsze szanse dostać się do dobrego liceum. A to oznacza dobre szanse na uniwersytet

[S]: Nie widzę obecnie żeby coś przeszkodziło mu w skończeniu szkoły.

[M]: Tylko o to się troszczę.

[S]: Wątpię.

[M]: Sprawdź mnie.

[S]: Martwię się o związek między Ojcem Flynn i twoim synem.

[M]: Nie mów. Martwisz się. Co to znaczy?

[S]: Że to może być nie w porządku.

[M]: Z każdym jest coś nie w porządku, nie? Trzeba być wyrozumiałym.

[S]: Szczerze, to martwię się, że Ojciec Flynn może zalecać się do twojego syna. Mógł zalecać się. Nie jestem pewna.

[M]: Nie ma dowodu?

[S]: Nie.

[M]: Może nic w tym nie ma.

[S]: Myślę, że jednak coś w tym jest. Myślę, że Ojciec Flynn dał Donaldowi wino.

[M]: Dlaczego miałby to robić?

[S]: Czy Donald zachowywał się dziwnie ostatnio?

[M]: Nie.

[S]: Nic niezwykłego?

[M]: Był sobą.





[S]: Dobrze.

[M]: Siostrze, nie chcę kłopotów.

[S]: Ja nie uhh... chyba mnie nie rozumiałaś.

[M]: Chyba rozumiem o czym mówisz. Ale nie chcę w to wnikać.

[S]: Co takiego?

[M]: Nie chcę się kłócić, ale jeśli mówimy o czymś między księdzem i moim synem, to nie jest wina mojego syna.

[S]: Oh, nie sugeruję tego.

[M]: To tylko chłopiec.

[S]: Wiem.

[M]: Dwunastolatek. Jeśli ktoś ma być winny, to powinien być ten mężczyzna, nie chłopiec.

[S]: Wiem. Zgadzam się całkowicie.

[M]: Zgadzasz się, ale ja zostałam wezwana do przełożonej, jeśli wiesz o czym mówię.

[S]: Martwie się o dobro Donalda.

[M]: Szczerze myślisz, że ksiądz dał Donaldowi to wino do picia?

[S]: Tak.

[M]: Więc czemu mój syn został usunięty z ministrantury, jeśli to ten mężczyzna to mu dał?

[S]: Wiem. Chłopiec został złapany, mężczyzna nie.

[M]: Więc winisz mojego chłopaka.

[S]: Nie.

[M]: Bez problemu winisz mojego syna. A wiesz dlaczego?

[S]: Daj mi teraz powiedzieć. Myślę, że się denerwujesz teraz.

[M]: Siostrze, jak idziesz przeciw MĘŻCZYŹNIE w SUTANNIE to nie wygrasz. On ma pozycję.

[S]: I ma twojego syna.

[M]: Więc niech go ma.

[S]: Co?

[M]: Tylko do czerwca.

[S]: Wiesz, co ty mówisz?

[M]: Wiem o tym więcej niż ty.

[S]: Wierzę, że ten człowiek tworzy lub już stworzył niestosowny związek z twoim synem.

[M]: Nie wiem.

[S]: Wiem, że mam rację.

[M]: Skąd możesz być tego taka pewna, kiedy nie jesteś?

[S]: Jaką matką jesteś?

[M]: Wybacz, ale nie znasz życia na tyle by mówić takie rzeczy, Siostrze.

[S]: Znam wystarczająco.

[M]: Znasz może zasady, ale nie znasz ich powłoki.

[S]: Wiem, czego nie zaakceptuję!

[M]: Akceptujesz, co musisz i pracujesz nad tym.

[S]: Ten mężczyzna jest w naszej szkole

[M]: Musi gdzieś być i może robi coś dobrego też.

[S]: Poluje na chłopców!

[M]: **Więc może niektórzy chłopcy chcą być złapani!** Dlatego ojciec go pobił. Nie z powodu wina.

[S]: Dlaczego mi to mówisz?
[M]: Mówię o naturze tego chłopca, nie o tym co zrobił. **Nie możesz obwinić chłopca za coś, co dał mu Bóg.**
[S]: Interesuję się tylko działaniami, Mrs. Miller.
[M]: Ale jest i natura chłopca.
[S]: Zostaw to.
[M]: Zapomnij więc. To ty zmuszasz ludzi żeby mówili. Mój chłopiec poszedł do waszej szkoły, bo chcieli go zabić w szkole publicznej. Jego ojciec go nie lubi. Przychodzi do waszej szkoły, dzieci go nie lubią. Jeden mężczyzna jest dobry dla niego. Ksiądz. Czy on ma swoje powody? Tak. Każdy ma. Ty masz swoje powody. Ale czy pytam się go, dlaczego jest dobry dla mojego syna? Nie. Nie obchodzi mnie to! Mój syn potrzebuje by jakiś mężczyzna zaopiekował się nim i poprowadził go drogą, jaką on chce iść. Ten wykształcony człowiek z życzliwością w sobie chce zrobić właśnie to.
[S]: To nie wystarczy.
[M]: Tylko do czerwca.
[S]: Wyrzucę twojego syna ze szkoły.
[M]: A dlaczego miałabyś to zrobić skoro to nie jego wina?

[S]: Bo chcę to ukrócić.
[M]: Zraniłabyś mojego syna by postawić na swoim?
[S]: To nie zakończy się na twoim synu.
[M]: Wyrzucę więc księdza.
[S]: Próbuję to zrobić.
[M]: Więc czego ode mnie chcesz?
[S]: Niczego. Jak się okazuje.
[M]: Proszę zostaw mojego syna w spokoju. Mój mąż zabije go przez taką rzecz.
[S]: Spróbuję.
[M]: Jestem spóźniona. Siostrzo, nie wiem czy jesteśmy po tej samej stronie. Ja jestem z moim synem i z tymi, którzy są dla niego dobrzy. Chciałabym żebyś też tam była. Do widzenia.

Wcielona w rolę matki chłopca Viola Davis dostała za swoją rolę nominację do Oscara za rolę drugoplanową. Siostrą zakonną zagrała Meryl Streep.

Film wejdzie na ekrany polskich kin 20 lutego 2009.



wiersze

Smutek

Gdy smutku chwila ogarnia me serce
A słońce ku zachodowi leciutko się chyli
To właśnie w takiej chwili
Marzenie senne po cichu wkrada się do mego pokoiku...
świat zmienia barwy - jest jaskrawo błękitny

I wtedy gdzieś w mojej jaźni
Miraż pojawia się baśniowy
Przeszłość rysuje się wyraźniej...
Jestem na plaży.
Jest ciepło, przyjemnie
Obserwuje chłopców z daleka
Jeden z nich się do mnie uśmiecha
Chciałbym podejść tam i go przytulić
Mam już dość ciągle dręczyć się i nudzić
Boje się, nie mogę...
Wiem jednak, że muszę iść przed siebie
Bo on będzie czekał w niebie

Oskar



wiersze

Samotność

Czasem miewam takie chwile
Gdy doskwiera mi samotność
Wtedy tylko „jego” pragnę,
Myśl ta daje mi wiatr w żagle.

Piękny mądry, idealny,
U mnie ździebko niemoralny.
Choć on w głowie mej jest tylko
Chciałbym być tak przy nim blisko

Chciałbym pomoc mu w potrzebie
I rozmawiać w pełni szczerze
Chciałbym by się przy mnie budził
I przytulał, kochał, tulił

Oskar



wiersze

Samotnik

W szarej krainie
myśląc nad swym końcem,
siedział samotnik pod szarym słońcem.

Któregoś jednak dnia
przyleciał do samotnika szpak
rzekł, że pozna niedługo anioła – chłopca.
wraz z którym natura jego nie będzie mu już obca.

Samotnik, może nadajmy mu imię
które wszystko przetrwa, nigdy nie zginie
normalne i niezwykle, okropne i romantyczne zarazem
Turambar nazwijmy go tym razem.

W końcu nastał dzień upragniony
przyleciał anioł przez szpaka ogłoszony
anioł w pięknym chłopcu uwięziony
dar dla Turambara od niebios przyniesiony.

Piękny chłopiec, aniołem zwany
szybko została przez Turambarą pokochany,
jego brązowe oczy i skrzydła magiczne,
powodem ciągłych westchnień liczne.

Zburzył szary mur, otarł łzy,
na moment wstrzymał oddech świat cały,
Turambar wziął rękę chłopca
i położył się z nim na łożu swego ojca.

Leżeli tam godzin kilka
lecz dla nich zaledwie to była chwilka.
Chłopiec Turambarowi czułe słowa mówił
I w jego męskie ciało potulnie się wtulił.

Niestety, wszystko co dobre wkrótce minie,
Lecz wspomnienie o aniele nigdy nie zaginie .
Świat kolorowy nie będzie mu już obcy
póki pozostaną mu w marzeniach jego piękni chłopcy.

Oskar

